

Corocznie 52 tomy.

Bezpłatny Dodatek tygodniowy do „Gazety Polskiej”.

Henryk Rzewuski.

PAMIĄTKI

STAREGO SZLACHCICA LITEWSKIEGO

TOM II.



H. Okoński

N516

WARSZAWA.

Wydawnictwo Redakcji „Gazety Polskiej”.
Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

1900.

Co tydzień książka

bezpłatna

KD 891.85-94

H

Dotychczas wyszły następujące bezpłatne dodatki tygodniowe do „Gazety Polskiej.“

1. St. Kozłowski „Taboryci“ dramat w pięciu aktach tom 1
2. 3. 4. T.T. Jez „W Zaranu“ powieść tomów 3
5. E. Goncourt „Bracia Zemganno“ tom 1
6. T. Padalica „Powieści Ukraińskie“ „ 1
7. 8. Edm. Rostand „Cyrano de Bergerac“ komedia baka-
terska w przekładzie M. Konopnickiej i Włodz. Za-
górskiego tomów 2
9. Irena Mrozowicka „W płytkim prądzie“ (tom 1
10. Jonas Lie „O Zachodzie“, powieść norweska „ 1
11. 12. Klementyna z Tańskich Hofmanowa „Krystyna“ tomów 2
13. H. Andersen „Bajki i Opowiadania“ tom 1
14. Józef Blizński „Obrazki“ „ 1
15. 16. 17. Artur Gruszecki „Szarańcza“ powieść na tle sto-
sunków szlaskich tomów 3
18. Juliusz Breton „Artysta“ (Savarette) tom 1
19. 20. Jan Iam „Wielki Świat Capowic“ tomów 2
21. 22. 23. 24. „Głowy do poźłoty“ tomów 4
25. J. W. Goethe „Reineke-Lis“ tom 1
26. Stanisław Pilecki „Dwa głosy“ tom 1
27. Marya Konopnicka „Pod prawem“ powieść „ 1
28. Teofil Lenartowicz „Peezye“ „ 1
29. Marya Konopnicka „Nowele“ „ 1
30. Adolf Dygasiński „W Klelcach“ opowiadania i uwagi
o czasach szkolnych „ 1
31. Marya Konopnicka „Nowele“ „ 1
32. 33. Józefat Nowiński „Biała Gołębka“ poemat dramatycz-
ny w 5 aktach tomów 2
34. Marek Twain „Bajeczki dla starych dzieci“ przełożone
z oryginału przez Alinę Świdorską tom 1
35. 36. 37. 38. Michał Synoradzki „Muszkietierowie króla Je-
gomości“, romans historyczny tomów 4

Henryk Rzewuski.



PAMIĄTKI

STAREGO SZLACHCICA LITEWSKIEGO.

Tom II.

H. Okoński

WARSZAWA.

Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej“.

Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.

1900.

majątnych obywateli; ubogie Rysiátko zostało piątym. Tamci od rodziców miewali często i suty grosz, a Karolek okrom ubioru, co go z łaski księcia miał na sobie, ani szeląga przy duszy.

Wkrótce dał sobie radę, że kiedy niekiedy grosiwo kolegów do jego kieszeni się przenosiło; a to tym sposobem: ksiązę chorąży po obiedzie, nieco podochocony, miał zwyczaj parę godzin przesypiać, a paziowie w przedpokoju, pilnując go, grywali sobie w Helbecwelbe, żeby im czas schodził, a jakże Karolkowi z nimi grać bez pieniędzy? Otóż taką grę pustaki wymyślili: paż stawia na przeciwko Karolka pięć, dziesięć, czy tam wiele tynfów; kiedy wygra, pieniądze jego, a kiedy skrewi, musi księcia pijanego i sennego kartą po nosie uderzyć tyle razy, ile tynfów na kartę postawiono. Czas niejaki mu się udawało, ale jednego razu, gdy ksiązę uderzony się przebudził, sądny dzień zrobił się w Kojdanie. — Kto ciebie hultaju do takiej zabawy namówił? — zapytał ksiązę Karolka. — Ja sam siebie namówił — odpowiedział chłopiec nie zmieszawszy się. — Kiedy mi tak zuchwale odpowiadasz, obaczmy czyje będzie na wierzchu. — I natychmiast kazał mu pięćset łoż odliczyć, bo wiadome były porcy księcia chorążego.

Prawdziwie rysią miał naturę Karolek, że nie

Дозволено Цензурою.

Варшава, 29 Апрель 1900 года.

skonał z bólu, ale tak się zaciął, że ani jęknął. Książę, który był świadkiem egzekucyi, luboć znany z twardego serca, powiedział: — Jednak to niepospolite chłopię. — A po skończonej kaźni, zapytał go niby łagodniej, ale takowa łagodność u niego uchodziłaby za największe uniesienie. — Z jakiego powodu, łotrze, śmiałeś twojego pana znieważyć? — A ten mu na to: — Cóż miałem robić z biedy? Wszyscy paziowie mają pieniądze, a ja, będąc chrzestnym synem księcia pana, od trzech lat co mu służyć wiernie, jeszcze szeląga nie dostałem. — Książę mu natymiasz darował pięćset tynfów, właśnie tyle, ile łoż dostał, i postąpił go na pokojowego, z oznaczeniem trzechset tynfów rocznej laffy, by swój nos nadal od szcutków ochronić. Wyrosłszy Ryś, został dworzaninem, i coraz dalej wzmagał się w łaskę swojego pana, dla wierności, odwagi, a szczególnie siły: bo podkowy łamał jak trzcinę, a szablą tak robił, że chyba jeden Wołodkowicz mógł dotrzymać jego zakładu. Pojedynki tu miewał częste, bo był zuchwały. Będąc dworzaninem księcia chorążego, gdy młody książę Karol Radziwiłł, później wojewoda Wileński, a wówczas miecznik Litewski, przy kielichu powiedział mu: — Panie kochanku, pókiś przy ojcu siedział, nazywano ciebie Rysiem, ale odkąd przyłaskawiono ciebie w pańskim dworze, powinienes nazywać się Kotem, bo kot jest ryś swój-

ski — tak się Ryś oburzył, że ani go to zastanowiło, iż sprawa była z synowcem i spadkobiercą swego pana, ale wręcz mu powiedział! — Ja nie waszej książęcej mości chleb jem, ale jego stryja, a moja służba nie rozciąga się do tego, bym od całego domu mego pana miał przegryzki znosić. Ja taki dobry szlachcic jak i książę; chociaż mój ojciec głośno chwali Pana Boga, książę nie masz prawa przekręcać mojego nazwiska, boś mi go nie dał, i proszę natychmiast ze mną się rozprawić. — A książę, lubo przed Bogiem i ludźmi mógł być wymówionym, iż nie przyjął wyzwania od dworzanina swojego stryja; że będąc sam tęgim do korda, rad był się spróbować z graczem, za jakiego uchodził Ryś, ile że go miał za dobrego szlachcica; pomimo perswazyi swoich sług i przyjaciół dotrzymał placu z niemala szkodą swojego zdrowia, bo takie cięcie dostał wyżej łokcia, że kilka niedziel z izby nie wychodził. Nawet książę hetman, lubo srogim był dla syna, tyle tu uczuł, że pojechał do Kojdanowa skarżyć się przed bratem, iż jego dworzanin syna mu skaleczył. Jenó książę chorąży odpowiedział: — Niech książę brat da temu pokój; nasz miecznik tak mi jest miły, jak i samemu księciu, bo że dzieci nie mam, on mi jest synem, i dla niego pracuję, ale sam się żalisz, iż jest

niespokojnego umysłu, a więc jak raz i drugi oberwie za swoje, azaliż się nie upamięta? A nakoniec za co mam karać Rysia, kiedy urodziwszy się szlachcicem, postąpił po szlachecku? — I tak ta burda nie zaszkodziła Rysiowi nawet w przyszłości, bo jak książe Karol odziedziczył Nieśwież, jedna z pierwszych jego czynności była, że mundur albański jemu przysłał, i przywiązał go ściśle do swojej osoby. Wkrótce po tym pojedynku, książe chorąży, jakby dla okazania, iż przeciw niemu sierzdzystości nie miał, wypuścił mu dożywociem Wilczyznę o pół mili od Kojdanowa, wioseczkę niewielką, ale z dobremi gruntami. Ta wspaniałość księcia tem się wydawała dziwniejszą, że ludzie z większemi i dawniejszemi zasługami nie u niego nie wskórali, gdyż on był z małej liczby Radziwiłłów, co tylko o sobie pamiętali. Ale Ryś nie tylko że nie przedstawiał na dochodach swego folwarku, jeszcze znaczne długi porobił, a wszystko na stroje, bo niczego nie oszczędzał na przyozdobienie swojej osoby. I była tego warta. Kiedym go poznał, już był nie pierwszej młodości, a jednak tak pięknym, że nie można było na niego się napatrzeć. To też, że wiedział o tem, ledwie nie codzień co innego było na nim; nikt ani tak litych pasów, ani tak kosztownych spinek, ani tak pięknych aksamitów i lam nie miał, a wszystko dziwnym smakiem zastosować

umiał. Nadzwyczajne też miał szczęście do ludzi, bo że zawsze był potrzebnym, ustawicznie prosił o pożyczanie pieniędzy, a zawsze ich dostawał. Każdy jakby oczarowany, na prośbę dawał, nie pytając o ewikcyę. A co więcej, choć ledwie dwudziesty czwarty rok mu się kończył, choć żadnego, ba! najmniejszego urzędnika nie miał w swojej koligacyi, choć morga ziemi dziedzicznej nie posiadał, a miał długów więcej niż włosów na głowie; przecie został obrany deputatem z województwa Mińskiego na trybunał Litewski, pod łaską księcia Karola Radziwiłła, — właśnie jakby się narodził książątkiem, lub jaśnie wielmożnego synem. A choć w urzędowaniu więcej pilnował tańców, niż dokumentów, ta deputacya była powodem, iż raptownie został możnym. W Wilnie, gdzie w tym roku agitował się trybunał Litewski, bawiła na opiece u stryja panna Kietliczówna, córka owego sławnego facyendarza Kietlicza, który prawie z niczego zaczawszy, ogromny majątek zostawił małoletniej swojej jedynaczce. On to w czasie siedmioletniej wojny więcej miliona zarobił, dostarczając żywność Rosyi ciągnącej Litwę do Prus. A ta córka była tak dobrze jak zaręczona panu Łopotowi, któremu silnie sprzyjał opiekun panny. Ale jak ją poznał nasz Ryś, wkrótce ją odkochał, i nie dziw. Bo pan Łopot, acz zacny i godny kawaler, ale jednak,

w możliwym domu wychowany, był sobie zwyczajnie papinka. Wszystkiego się obawiał; lada wieprzyk, bywało, nie wyjdzie na podwórze, jako z twarzą w pieluchach: a kiedy w piątek ryby naje się odrobinę, to już nazajutrz kilku doktorów przy łóżku. A panna, *hic mulier*, bo bekasy w lot biła, i zające szczuła co koń może wyskoczyć, istny dragon w spódnicy, a z tem wszystkim urodziwa. Jakże ją było sprzedać z panem Łopotem? Rys z nią, to to była dobrana para. Dlatego też rychło się pokochali, że pomimo najpewniejszych nadziei pan Łopot odkosza dostał, i wyjechał sobie z Wilna, pomiarkowawszy, że chyba szablą wypadnie pannę dobywać, co z Rysiem była rzecz niecoryzykowna. Były jakieś takie trudności do przełamania ze strony opiekuna, ale gdy mu bąknął pan Rys, że czy wola jego, czy nie, a wcześniej później panna go nie ominie; a zatem, jeżeli mu będzie niezyczliwość okazywał, potrafi to odwetować, jak przyjdzie mówić o kalkulacyi z opieki, tak tem pana stryj zbił z tropu, że sam mu został swatem; co mu w istocie po ślubie pan Rys odwdzieczył, najdelikatniej żonie asystując w zakwitowaniu, które od niej stryj uprosił — gdyż i bez tego ledwo nie pańska fortuna dostała się w ich ręce.

Już księżę chorąży nie żył, ale pan Rys przeniósł swoją wierność i przywiązanie do księcia het-

mana, i lubo około dwudziestu folwarków posiadał, nie przestawał siebie liczyć między sługami radziwillowskimi. Tytułowano go strażnikiem Mińskim i był powszechnie poważany w całym województwie, bo był gościnnym i uczynnym, ale zawsze burzliwym. On to, mając sprawę z księciem Radziwillem żyrmuńskim, starostą Lidzkim, którego syn był potem koniuszym Litewskim, kiedy umocowany księcia, indukując sprawę JO. pryncypała przed ziemstwem Lidzkim, uszczypnął pana Rysia, robiąc wzmiankę o organach nieświeżskich, tak go tem poruszył, że na wstępie zaczął samemu księciu cierpkie robić wymówki, aż księżę, zaufany w swoim imieniu, wyrzucił mu, że tak długo nakarmiwszy się radziwillowską pieczenią, winien być umarkowańszym dla członka tej rodziny. Ale pan Rys odważył się odpowiedzieć publicznie: — Byłem i jestem sługą Radziwillów, ale orłów a nie kobuzów, co to księżę ze swoją lada jaką mitrą występuje, jakbyś był co lepszego odemnie? Radziwillów panów, to tylko w nieświeżskiej i trochę w kleckiej znamy, a wy żyrmuńscy zwyczajnie szlachta. Księżę chorąży, mój nieboszczyk pan, żadnego z was gołą ręką by nie dotknął, żeby świeżbu nie dostać. — I tym podobnymi przygryzkami tak go jął osypywać, że biedny księżę ledwie uciekł. On z początku miał zwyczaj do kórków żony kulami strzelać, ale ona go od tego odu-

czyła. Trafiła kosa na kamień, bo razu jednego, gdy w sypialni porwawszy za pistolet, zabierał się do korków imości, ona, która była brzemenną, odpowiedziała mu: — Jużem cię kilkakrotnie prosiła, żebyś mnie uwolnił od tych twoich popisów; zatem, idź sobie do masztarni gwoździe kulami zabijaj a moich korków nie psuj. — Jeszcze ten raz ostatni, kochankó, pozwól wypróbować moich pistoletów? — Ale ta porwała drugi pistolet na skrzynce leżący, i odwiódłszy kurek: — Słuchaj, Karolku — mówi — jeżeli mi korka wybijesz, to ci natychmiast takim sposobem pas rozwiążę. — Pan strażnik myślał że żartuje, pali do pięty imości — i w sam korek — on z pistoletu ubiłby muchę na nosie niedźwiedzia; ale pani strażnikowa nie wiele myśląc, jak da ognia ze swego, w samej istocie pas mu rozwiązała. Pan strażnik pochwalił zgrabność żony i rączki jej ucałował, ale odtąd rozejm zrobił z jej korkami. Tak dobrane małżeństwo nie mogło się wzajem nie miłować; ich pożycie nawet za dawnych czasów było do przykładu. To kiedy pani strażnikowa pożegnała męża, powiwszy mu jedyną córeczkę, mąż ledwie że nie zupełnie rozum stracił z żalu, i gdyby nie wielka jego wiara, byłby sobie życie odebrał; łbem tłukł o ściany, rady dać sobie mógł. Więcej roku, okrom swojego plebana nikomu się nie dał widzieć; nawet był brodę sobie zapuścił, a tak

zaniechał gospodarkę, że gdyby byli takiego sposobu myślenia co dzisiejsi, majątek w puch rozbitymby został. Zgola tak zdziwaczał, że familia nieboszczki już zabierała się do odezwania względem opieki nad dzieckiem i majątkiem, a majątek był pański, bo już z siebie przestronny, bez wielkiej pracy sam wzrastał. Nakoniec ocknął się pan strażnik ze swojej melancholii, testament jak się należy sporządził, opiekunem nad osobą i majątkiem dziecka zrobił pana podkomorzego Rejtana, zostawując sobie sto tysięcy do wolnego rozporządzenia, a sam wstąpił w Wilnie do nowicyatu jezuitów. Tam, jak mu ogolili brodę i wzięli go na refleksyę, jakoś się upamiętał; bo największy żal się umityguje przy prawdziwej pobożności i perswazyi ludzi roztropnych. Wszakże ja sam więcej jeszcze miałem powodu rozpaczać po mojej Magdusi; bośmy z nią doświadczyli pospołu niemalych ucisków, pokądeśmy do dobrego mienia nie przyszli; a wiadomo, że związki serca więcej się ściskają współnictwem niedoli, niż pomysłności. Przedsię dusza przepelniona goryczą znalazła nakoniec tyle siły, by Bogu ofiarować swój pocisk, a tem samem bez jakiejś pociechy nie została odprawiona.

Tak pan Ryś, po gwałtownym żalu, tyle się upamiętał, iż nawet poznał, że nie był powołany do zakonnego żywota, ale że na świecie wedle woli Bo-

żej miał szukać zbawienia. Jakoż sami ojcowie jezuici przekonali go, że ani zgromadzenie z niego, ani on z surowości reguły pociechy mieć nie będzie. Ba, gdyby tylko w stanie duchownym chrześcianin mógł być zbawiony, toćby świat za lat kilkanaście się skończył, albowi odrzec się wypadało obrządku łacińskiego przy piastowaniu świętych obrzędów. Toć dopiero, gdyby bisurmanie napadli, niktby się od jasyru nie uwolnił, bo kim tu się bronić? a nakoniec, że odkąd świat stoi, inaczej się dzieje, więc dowód oczywisty, że wola Pana Boga, aby inaczej się działo. Dość, że pan Ryś, że był wspaniałomyślnego animuszu, stem tysięcy nadawszy nowicyat Wileński, aby go na świecie modły ojców nie opuszczały, wrócił sobie zdrów do obszernego majątku; a habit zakonny zawiesiwszy na kołku, *de noviter* wdział na siebie kontusz rycerskiego stanu, i do dawnej wykwitności stroju powrócił, ugęszczając dwór nieświeżski, którym już władał książę Karol Radziwiłł, świeżo po śmierci ojca wyniesiony na województwo Wileńskie. I tego pana szczególne a spadkowe łaskiuzyskał, nie tylko przyjemnością obcowania, ale daniem dowodów niepospolitej przychylności. Bo wkrótce śmierć króla Sasa nastąpiła, a gdy konfederacya, w czasie bezkrólewia zawiązana, karząc księcia Karola przychylność dla dworu saskiego, odsądziła go od województwa Wileńskiego i od wszelkiej własności, jako

nieprzyjaciela kraju, książę, po zagranicznych ziemach się tułając, oprócz kosztownych sprzętów, co je wywiózł na prędcę, nie miał innych dóbr, okrom serc swoich przyjaciół. A te go nie zawiodły bo każdy wedle swojej możności o jego potrzebach pamiętał. A pan Ryś był z liczby tych, co się szczególnie odznaczyli, bo na swoje dobra dwakroć sto tysięcy zaciągnawszy, całkowitą kwotę odesłał księciu do Włoch, chociaż zbyt śliska była nadzieja odebrania kiedykolwiek swojej należitości. To też książę z biegiem okoliczności, gdy wrócił do obszernego dziedzictwa i do kraju miłszego mu nad wszystkie dziedzictwa, najściślej poufalością wywiązywał mu się z tak sowitych dowodów przyjaźni; bo czemuż innem mógł swoją wdzięczność okazać możnemu obywatelowi, któremu już wówczas rachowano około dwóch kroć intraty? Dość, że pan strażnik, mając jedynaczkę, a nadto miłując pamięć żony, by w powtórne związki dać się wpętać, sprowadziwszy *madamę*, chociaż Francuzkę, ale bardzo roztropną, na niązdał wychowanie panny strażnikówniej: ba, nie tylko wychowanie, ale cały dom; a sam ciągle w Nieświeżu bawił, kiedy niekiedy dojeżdżając do rozmaitych swoich dóbr, dla dowiedzenia się na prędcę, co się w gospodarce dzieje, szczęśliwie natrafiwszy na sługi, na których mógł się spuścić. A tak sobie hulał z bandą albańską, bądź towarzysząc księciu wo-

jewodzie na łowach, bądź tańcząc na często powtarzanych balach zamkowych, bądź wszystkich zadziwiając wykwitnością ubioru. Już za mojej pamięci, bywało czy wieczory bachusowe, czy na święty Karol, czy na jaką galę, nikt się naprzód dowiedzieć nie może, jak ma pan Ryś wystąpić; a jak wystąpi, zawsze na nim coś nowego i nieprzewidzianego. To dopiero naśladował go wykwintnie, bo kto z niego nie brał wzoru, tego nasze szlachcianki i panie nie miały za gustownie ubranego; zgoła, on był twórcą mód nieświeżkich. Pinduski, cośmy wszyscy zaczynając od samego księcia wojewody, więcej dwóch lat nosili, były jego wymysłem. Otóż z powodu bierzmowin młodego księcia Hieronima, którego księżę wojewoda był bratem i opiekunem, gdy miały być uczta i tańce w Nieświeżu, wszyscy ciekawi byli, jak wystąpi pan Ryś; bo wiadano z doświadczenia, że w podobnych okolicznościach umiał zawsze coś wymyślić. Modnisie nieświeżscy, jako pp. Michał Rejtan, Leon Borowski, Piotr Wiażewicz i inni, starali się mieć to, co i on na sobie, ale zawsze na próżno, bo wszystko umiał w sekrecie zachować, a nie było sposobu jego szatnego podkupić, raz, że był szczerze przywiązany do swego pana, powtóre, że obawiał się go jak ognia. Otóż nie wiem jakim sposobem ksiądz Krzysztof Szukiewicz, nauczyciel księcia Hieronima, dowiedział się, a to w sam dzień bierzmo-

win, że pan Ryś miał wystąpić na wieczorne tańce w butach z najpiękniejszego żółtego atlasu, które na sprzączeczce miały być ściśnione poniżej kolan, aby mu gładko leżały z pod kusego kontusza. Namówię jego współzalotników w wykwitności, by w podobnem obuwii wystąpili, było zapóźno, gdyż nie było czasu podobnych sporządzić, ale ksiądz krotofilny robił mu następną psotę: między pokojową szlachtą księcia wojewody był pan Tadeusz Scypion, ze starożytnego domu, bo aż od dawnych konsulów rzymskich wyprowadzał swoją prozapię, ale tak ubogi, że jego matka żyła na gruncie nieświeżskim z ordynaryi, co jej oznaczył księżę, zawsze protektor podupadłej szlachty,—a pan Tadeusz utrzymywał się ze szczupłej laffy, co ją jako pokojowy pobierał. A że miał piękną rękę, że jego pismo za istny sztych uchodzić mogło, bywało píše supliki do księcia od poddanych bojarów, żydów i innych podwładnych, z czego miał siaki taki przychód. Ale grosz grosza nie dopędzał, bo trzeba było codzień odziewać się przyzwocie, a ubogą matkę czem mógł tem wspierał, gdyż to był całą głębią poczciwy i szlachetny chłopiec. Już od kilku miesięcy szły mu interesa pomyślniej, bo księżę, upodobawszy sobie jego pisanie, zlecił mu uczyć księcia Hieronima formować charakter, czem miewał codziennie stosunki z księdzem Szukiewiczem. Nie trudno było nakłonić do figla dziewiętnasto-letniego

chłopca, zwłaszcza takiego, co w wesołości celował; z namowy więc księdza, kiedy goście i domownicy zaczęli się zbierać na wieczorne asamble, pan Scypion w przedpokoju między liberyą schowany, uzbrojony kwaczem i garnkiem napelnionym dziegciem, czatował na pana strażnika jak wyżeł na dubelta. Wchodzi nareszcie pan Ryś z miną gęstą, cały lśnący się od złota i szkarłatu; jedna ręka oparta na karabeli w jaszczur oprawnej, druga przy prawym boku pieszcząca kwast od czapki; łeb do góry zadarty, — a tu przy podwojach pan Scypion kwaczkiem bryzg bryzg po butach, że natychmiast pstrokatemi zostały. Pan Ryś, nie widząc co się przy nogach dzieje, dalej sobie do sali, tak oświeconej, iż jaśniej było niż wśród dnia, i wita się w prawo i w lewo, a nisko skłoniwszy się księciu, dawaj koperczaki stroić do dam, zaczynając od sióstr książęcych. Wtem słyszy w około siebie śmiech; nie wie co to znaczy. Aż JW. generałowa Morawska, siostra księcia wojewody, do której właśnie się wdziczył, odzywa się:—Mój strażniku, co to koło ciebie dziegieć tak swędzi? czyż tobie na inne perfumy nie wystarczyło?—Pan Ryś, zmieszawszy się, spuszcza oczy; ale jak spojrzy na swoje buty—desperacya. Pobladł ze złości i wstydu, bo o ubiór tyle dbał, ile o skórę własną, i tak się zaciął, że słowa jakby skrzeple z gardła mu wyjść nie mogły; nakoniec odezwał się:—Kto mnie ukrzywił?—A wszyscy

jeszcze w większy śmiech, książe aż płakał ze śmiechu patrząc na Rysia. Nakoniec tak się rozzłościł, że niech mu Bóg nie pamięta co wygadywał:—Biada temu co mnie obraził! Z pod ziemi go wydobędę! Jeżeli to się zatai, to jakim *Sodalis*, bodajby cały Nieśwież miał przejść przez moje ręce, z każdym będę się strzelał i rąbał, pokąd nareszcie trafię na dziegciarza—i tym podobne niedorzeczności; a co więcej się gniewa, to większy koło niego śmiech, że nakoniec od stóp do głowy trzesąc się, jakby na niemoc S-go Wita zachorował, zniknął z sali, zawsze odgrażając się na wszystkich, czem nie tylko iż nie zmieszał kompanii, ale w trójnasób jej wesołość powiększył. Ale nazajutrz, jak zaczął robić kwerendy, nie wiem jak, ale się dowiedział, że to wszystko była sprawa księdza Szukiewicza i pana Tadeusza Scypiona. Do księdza nie było sposobu czepiać się, bo ksiądz nie dobędzie korda, którego nie nosił, ale za napaść może wystąpić z kłatwą, od której ani krzyżową sztuką, ani młynem się nie zasłonić; ale całkowitą złość ku panu Tadeuszowi obrócił, i na dziedzińcu zamkowym napotkawszy go, w obliczu prawie całego dworu okropne wymówki zaczął mu robić. Pan Tadeusz z początku przyjął je z pokornym sercem, i powiedział:—Ja sam znam, że młodszy starszego, a prosty szlachcic urzędnika zbytnią konfidencyą obrażając podwilem głową, i za to najuniżeniej przepa-

szam, bo cóż więcej mogę uczynić? Nie jest w mojej mocy cofnąć, co już się wykonało. Opuścił mi, panie strażniku, swawolę dla miłości Boga, a ja panu uszkodzone buty i odslużę i odmodlę.—Ale na to pan strażnik zapamiętały: — Mnie nie o buty chodzi, ale o śmiech ludzi coś na mnie ściągnął; ja twoich modłów i posług nie potrzebuję, na twoję skórę mam chrapkę, a że jej tobie nie wytatarowałem dotąd, to dziękuj mojemu umiarkowaniu, że pod boki pierwszego senatora naszej prowincyi burdy nie chcę robić; ale życzę ci gałganie, jak najdłużej trzymać się klamki książęcego dworu i z Nieświeża niewyjeżdżać, bo dzień, w którym przestaniesz być sługą księcia wojewody, będzie wigilią tego, w którym pięćset łóz dostaniesz.

Dopiero pan Scypion uczuł, że nie cygańska, ale stara szlachecka krew po jego żyłach krążyła. — Jak ty śmiesz — odezwał się — batogami straszyć szlachcica, co nie twój chleb je? Żeś się wzniosł fartuszkowym majątkiem, to już myślisz, że tobie wszystko wolno? A przypomnij-no sobie, że twój ojciec garbował tobie skórę przy swoich organach, kiedy mój był namiestnikiem kawalerji narodowej, gdzieby ciebie może na luzaka nie przyjęto. Ażebym ci dowiódł, że twoje pogrozki lekce sobie ważę, to choć kawałka chleba nie mam, zaraz księciu

panu podziękuję, i ciebie zmuszę, byś się stawiał jak przystoi temu, co się mieści w stanie rycerskim; a jeżeli nie staniesz, zaniechawszy ostrzyć zęby na moję sławę, toć plac ostrzelam, ogłoszę ciebie po całej Litwie za infamisa, a potem od zaścianka do zaścianka, choć pieszo chodzić będę, i powiem szlachcie, że zaufany w pieniądze co Pan Bóg dał, dawniejszemu od siebie szlachcicowi batogami grozisz, chleb mu odebrawszy, i wszyscy pójdą za mną, bo w mojej osobie całą ubogą szlachtę pokrzywdziłeś. — Pan strażnik porwał się do niego, ale my nie dopuścili gwałtu. Pan Tadeusz w istocie poszedł do księcia, i tam padłszy mu do nóg, opowiedział mu całą rzecz i podziękował za służbę, tłumacząc się, że dobra sława, która mu składa całkowitą ojcowiznę, nie pozwala mu służyć księciu, póki nie odwetuje swojej krzywdy; o czem nie trudno było przekonać księcia, tak ćwiczonego w szlacheckich prawidłach. Książę się rozczulił, patrząc na tak uczciwy sposób myślenia młodzieńca, i na dowód, że jego usługi były mu wdzięczne i pożyteczne, najpiękniejsze mu świadectwo podpisał i kazał mu odliczyć parę tysięcy, jako *de servitu mercis*, z zapewnieniem, iż o jego matce pamiętać nie przestanie; a choć przyjął na siebie postać, jakby o niczem nie wiedział, jednak panu Michałowi Rejtanowi powiedział: — Powiedz, panie kochanku,

panu Karolowi, że wiem o wszystkim, i że wolalbym by się po rycersku nie rozprawiali. Ale niech i tak będzie; kto chce niech wojuje orężem, a Panu Bogu zda liczbę, jeżeli nie słusznie; mnie nic do tego, kto jednak ukrzywdzi Scypiona na sławie, zapomniawszy o jego szlacheństwie, ja to za moje własną krzywdę poczytam, bo sam jestem szlachcicem; a jeżeli kto się odwoła do nahajów, dufając że mocny, to i ja nie słaby. — A posławszy po księdza Szukiewicza, powiedział mu: — Waszeć biedy narobił, starajże się to odrobić. — Perswazyja pana Michała Rejtana, a zapewne i głos sumienia, przekonały pana strażnika, że zaniechał myśleć o pokrzywdzeniu pana Scypiona, ale z niecierpliwością czekał wyzwania, bo czując się być upokorzonym, okropnie się zawział. Jakoż niedługo czekał, bo pan Scypion, udawszy się do pana Borejki, porucznika chorągwi księcia wojewody, który z jego ojcem kilkanaście lat kolegował, kiedy obaj byli towarzyszami, i przed nim objaśniwszy się do najdrobniejszych szczegółów, uprosił go, by raczył od niego kulę zanieść panu strażnikowi. A pan porucznik, nie odmawiając kolegi synowi tej posługi, poszedł z poselstwem swoim do niego, a że miał z nim dawną zażyłość, a do tego był człowiekiem dojrzałym, walecznym i w podobnych wypadkach doświadczonym, nie zaniedbał mu przekładać, iżby

najprzyzwoiciej było, by pan Scypion, jako już go raz publicznie przepraszał za psotę, tak i powtórnie swe kroki do pojednania powtórzył, do czego ma nadzieję go nakłonić, byle ze strony swojej pan strażnik dał słowo, że da się przeprosić, przeprasząc wzajemnie za czynione mu z uniesienia mocnego nieprzyzwoite wymówki i odgrazania; a że po tem uściskają się, nie dopuszczając wspólnego a ciężkiego grzechu, by za buty, chociażby atlasowe, krew chrześcijańska i szlachecka przelewać się miała. Ale pan strażnik kulę przyjął, a o niczem więcej mówić sobie nie dał. Gdy układali się o czas, miejsce i sposób, w jaki to wszystko miało się odbyć, nadszedł i ksiądz Szukiewicz, którego, lubo z sercem kwaśnem, jednak z powierzchownością dość uprzejmą przyjął pan strażnik; i ten zaczął perswadować, by z niewinnej swawoli, do której sam przyznał, iż był pierwszą sprężyną, nie doprowadził do następstw krwawych, ze zgorszeniem ludzi pobożnych, z obrazą Pana Boga. Ale mu przerwał pan Ryś mowę temi słowy: — Roboczy z waszeci człowiek, iż codzień czytając mszę świętą i odmawiając swoje pacierze, a do tego dozierając księcia hetmanowicza, by się dobrze uczył, a nie swawolił, aby kiedyś miała z niego pociechę rzecz-

pospolita, jak ją zawsze miała z jego przodków, jeszcze znajdujesz dość czasu, by nademną rozciągać nieproszoną opiekę. Chociaż nie czuję się być winnym zdawać przed waszecią liczby z moich postępów, jedynie przez grzeczność powiem mu, że mam Scypiona za uczciwego chłopca, choćby dlatego, że mnie wyzwał, tak dalece, że gdybym miał syna, cieszyłbym się, widząc go we wszystkim do niego podobnym, bo co prawda, to prawda. Tem samem, że mu staję, dowodzę, że go szacuję; ale żebym się uchylił od pojedynku przeprosinami, tego nie doczeka. Co się powiedziało, czy to było źle, czy dobrze, to do mnie należy; a jako od urodzenia nigdy z bojaźni nie cofnęło się, co już się raz wyrzekło, tak też nowego trybu życia nie przyjmę, kiedy wiek nieco czuprynę przypruszył; a zatem, mój miły księże, wracaj do swego brewiarza, bez obawy, bym ci przeszkadzał go odmawiać moimi radami. — Panie strażniku dobrodziejku, wybaczej, że się do tego nie przyznaję, bym w cudzą rzecz się wtrącał, bo nie tylko powołanie moje do tego mnie zmusza, ale każdy chrześcianin powinien ująć się za zniewagę praw kościelnych i boskich; dość pierwszy katechizm otworzyć, a tam znaleźć można, jak Pan Bóg uważa mężobójców. — Tylko proszę, mój księże, nie uczyć mnie katechizmu. Z łaski Pana Boga i świętej pamięci ojca mego,

dość jestem nauczony; a więcej roku będąc w nowicyacie, może dziś jeszczebym i kogoś nauczył. Wiem co kapłanowi, a co człowiekowi rycerskiego stanu przystoi. Bić się na wojnie po żołniersku, albo w pojedynku po szlachecku, to inna, a zdradą kogo kozikiem zakłuć, to znowu inna. Ja dobry katolik, a do tego Sodalis; przy łasce Pana Jezusa i Najświętszej Panny, w czym się należy nie przeszkrobię. Wiem, że nie Turczyn, nie Żyd, nie pies się pojedykuje, jako chrześcianin i szlachcic; zresztą nie ja wyzwałem, ale mnie wyzwano, a zatem ruszaj sobie ze swojemi kazaniami do pana Scypiona, wszak on i pierwszej twojej rady słuchał, a jeżeli pozwolisz mi wywzajemnić się radą, toć życzę i jemu dać pokój, bo że księżę wojewoda waszeci dobrze płaci, toć nie na to, byś nas doglądał. — Więc pan strażnik klątwę za nic sobie ważysz? bo i dzieci wiedzą, że czy kto ofiaruje, czy przyjmuje wyzwanie, ten pod klątwą kościelną. — To już z nowego bicz trzasnąłeś; szczęście, żeś nie na półgłówka natrafił: a wiesz o tem, że ja twojej klątwy się nie obawiam, a co się tyczy kościelnej, z łaski Pana Boga nadto się wywiązałem. Kościołowi, by miał mnie od siebie odłączać. Bo gdyby waszec w chleb kościelny opatrzone, na tyle tylko, ilem Kościołowi wyświadczył, nie miałbyś już potrzeby bakałarzować, co się nie mówi, jakby się

żałowało, co się zrobiło. I owszem, da się jeszcze więcej swojego czasu, ale dlatego, by dowieść, że bredzisz. Na sam nowicyat Wileński, z kąd wychodzili księża z trochę większym zdaniem, niż wasze-cine, sto tysięcy odkazałem i odliczyłem. Nie z fartuszkowego majątku, jak śmiał czekać ten śmierdziuch Scypion, do którego to nie należy (dam ja jemu fartuszkowy majątek), ale z własnej mojej krwawej pracy. Ex-jezuici mnie nie dadzą zaginać dlatego, iż nie wierzę, że Pana Boga wola, bym się zbłąźnił; o to pokój! A niech ksiądz pan, czy pan ksiądz, przyjmując oświadczenie mojej wdzięczności za jego odwiedzin, raczy także przyjąć moją prośbę, by te nawiedziny ukrócił, bo nie mam czasu dłużej mu służyć. — I tak ksiądz odprowadził z niczem.

Pan strażnik nie szukał sekundanta na dworze nieświeżskim, bo pomiarkował, że żaden z nas nie był rad pomagać przeciw koledze w istocie pokrzywdzonemu, za którym wiedziano, iż ksiązę nasz pan się oświadczył. Wezwał więc pana Moniuszkę, majora pułku wielkiej buławy Litewskiej, godnego i zasłużonego męża. Ten z panem Borejką umówił plac i warunki pojedynku, który się odbył nazajutrz, na obszernym błoniu między Kleckiem a Dunajczycami. Wiele naszych udało się na to

widowisko: bo pan Tadeusz nas wszystkich zaprosił, by być świadkami, jak nasz niegdyś kolega umie swojej krzywdy dochodzić, mimo siebie puszczając, iż sprawa była z takim, co miał i lwie serce i lwią siłę. Wedle umowy mieli walczyć konno, każdy z jednym pistoletem w ręku i z szablą na temblaku; gdyby ogniste bronie zawiodły, szabla miała ostatecznie rzecz rozstrzygnąć. Jak się zjechano, broń ponabijano, a zapastnicy siedli na koń. Jeszcze po raz ostatni usiłowano ich pojednać, ale gdy obaj oświadczyli, że przyjechali na plac bitwy, a nie na plac mowy, sekundanci rozstawili ich o pięćdziesiąt kroków jednego od drugiego. Pan Moniuszko przeżegnawszy się powiedział: — Protestuję się przed Bogiem i przed wami bracią szlachtą, że nie z powodu jakiej niechęci przeciw panu Scypionowi, ale dlatego pomagam tu W. strażnikowi Rysiowi, iż on zostawszy wyzwany, a nie będąc wyzywającym, prosił mnie o to; jako szlachcic i żołnierz nie mogłem przyjacielowi rycerskiej posługi odmówić; a że chciałem strony do zgody nakłonić, że ku temu żadnej usilności nie zaniedbałem, biorę was wszystkich na świadków. Gdy więc przychodzi do bitwy, do której końca winienem asystować, proszę was wszystkich o przyczynę do Pana Boga, aby nie obciążał sumienia mojego tą krwią, która się dziś przeleje. — A pan Borejko także przeże-

gnawszy się, do nas tak przemówił: — Lubo jestem obrońcą strony wyzywającej, protestuję się przed Bogiem i wami bracią szlachtą, że wpływając do tego pojedynku, to czynię nie przez brak miłości bliźniego, ale jedynie, aby pomagać synowi nieboszczyka mego kolegi, w przekonaniu iż został skrzywdzonym. Że jednak nie dopuściłem pojedynku, aż wyczerpawszy wprzód wszelkie środki godziwe do pojednania stron, biorę was także na świadków, i upraszam was wszystkich przytomnych, byście takowe świadectwo mnie przynieśli na ostatnim sądzie, a teraz westchnęli przynajmniej do Pana Boga, aby mego uczestnictwa za ciężki grzech nie poczytał — A potem, za danym znakiem, obaj zapastnicy przeżegnawszy się, cwałem na siebie natarli; bitwa i przez jedne *Zdrowaś Marya* nie trwała, bo gdy pistolety dały ognia bezskutecznie, do pałasza się porwali. Pan strażnik został zadraśnięty po ramieniu, jakby piórkiem; ale jak palnął szablą na odlew po rękę pana Tadeusza, ręka z pałaszem padła na ziemię, a w chwil kilka, z bólu omdlawszy, sam się obalił z konia. My wszyscy pobiegli do ratunku, a mieliśmy z sobą lekarza z Klecka na wszelki wypadek; ledwośmy go ocucili, że trochę przytomności odzyskał; potem zawieźliśmy go do Klecka z obandażowaną ręką, by tam go ulokować u lekarza, który się podjął, już

nie wrócić ręki, bo ta aż w dzień ostatniego sądu wróconą mu będzie; ale choć przy tak ciężkiem kalectwie, życie mu zachować. Ale jako do tej chwili gorszył nas pan strażnik swoją zaciętością, tak nas zbudował potem czułością: załamywał ręce na placu, ukląkłszy przed biednym Tadeuszem, i z oczami zalanemi łzami błagał go, by mu odpuścił swoje nieszczęście. Sam osiadł w Klecku u lekarza, i pokąd trwała niemoc pana Scypiona, na krok go nie odstąpił, wszelkie posługi mu czyniąc, jakby jaki pacholek. A gdy nareszcie do zdrowia przyszedł, jeżeli zdrowiem godzi się nazywać kalectwo, które ubogiego szlachcica wszelkiego sposobu do życia pozbawia, zabrał go z sobą na wieś, gdzie jego córka i dwór mieszkali. I tam się poznał z panem Tadeuszem, a po kilku tygodniach, powiedział mu: — Słuchaj, panie Tadeuszu, ja ci rękę odciałem, a Bóg świadek, że mojemu obiemu chciałbym ci tę jedną wynagrodzić, bo czuję, że na mnie ciąży twoja krzywda, jak kamień młyński; ale za to przyjm jako restytucję rękę mojej córki i zostań moim synem. Byłem ubogim jak ty, kiedy jej matkę wziąłem, a przecie daj jej Boże być z tobą dłużej, ale nie więcej szczęśliwą, tylko, ile była zemną jej matka. — I nie dawszy mu czasu odpowiedzieć, zawołał córkę, oświadczając jej swoje

chęć. Panna strażnikówna, że była po chrześcijańsku wychowana, wiedząc, że głos rodziców jest głosem Bożym, i że wielkie błogosławieństwa spadają na dzieci, spuszczaające się w postanowieniu swoim na ich wolę, odpowiedziała skromnie: że dotąd w niczem nie sprzeciwiała się rozkazom ojca kochanego, i że nigdy sprzeciwiać się nie będzie. Niewiele ją ta uległość kosztowała, bo pan Tadeusz, lubo pozbawiony ręki, i sercem i głową i urodą swoją łatwo mógł się podobać. Na tak pochlebne oświadczenia padł do nóg przyszłemu ojcu i swojej narzeczonej; a tak kilka niedziel nie upłynęło, a pan Tadeusz został szczęśliwym małżonkiem cnotliwej i urodziwej panny, i z chudego pachółka, spadkobiercą jednego ze znaczniejszych na Litwie majątków. Huczne były zaślubiny, które ksiązę wojewoda zaszczycił przytomnością swoją, ledwo nie z całym Nieświeżem. Pan strażnik dzieciom odkazał wielką część swoich dóbr i lat kilka patrzył na ich powodzenie, a gdy przysłała na niego kolej wszystkim ludziom przeznaczona, uległ temu prawu ogólnemu, z przytomnością i ufnością w miłosierdziu Boga; bo do wieczności i długo i dobrze się gotował. Po jego śmierci i reszta jego dóbr spadła na zięcia i córkę, jednak za życia jeszcze swego miał pociechę widzieć sypiące się zaszczyty

na pana Tadeusza Scypiona, bo kiedy mu dawał ostatnie błogosławieństwo, zostawił go starostą sądowym Lidzkim i kawalerem orderu świętego Stanisława.

XI.

O ż e n i e n i e .

Tyle pamiętek napisawszy, niech pozwolę sobie nie zapomnieć tej tak ważnej dla mnie, kiedy związałem węzeł dożywotni z Magdaleną Bohusze-wiczówną. Bo przemieszkawszy z nią lat trzydzieści, mogę wyznać, że niebo miałem na ziemi. Od lat kilku jurystowałem w Nowogródku, a lubo nie byłem jeszcze rocznym plenipotentem JO. księcia Radziwiłła wojewody wileńskiego, miałem już jednak uczciwy kawałek chleba, bo zawsze było coś do roboty. O nagrodę nie lubiłem się naprzykrzać, a przecię gęsty grosz kapał w kieszeń, tak że drugi co roku choć co-

kolwiek by sobie oszczędził; ale u mnie, lubo żyłem przyzwoicie i każdego przyjmowałem po szlachecku, żadnej wykuintności nie pozwalałem sobie, tylko zwyczajnie żyłem jak chudy pacholek w dorobku,— jednakże grosz nie dopędzał grosza. Ażeby co schować, o tem ani myśleć. Razu jednego; gdym zaczął rozpamiętywać, że pókim czerstwy praca mnie utrzymuje, ale jak stargam siły, a pracować nie zdążę, w cóż się obrócić? takem się zadumał nad moim losem, żem się nie spostrzegł, jak pan Fabian Wojniłowicz wszedł do mojej izby, i dopiero się opamiętał, jak się odezwał:—Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — Na wieki wieków! — odpowiedziałem, zerwawszy się, i idąc na powitanie szanownego gościa, pod którym dependowałem, i któremu byłem winien i los co go miałem, i możność robienia sobie nadal obszerniejszych nadziei.—A nad czem to waćpan tak się zamyslił, że nie uważasz, jak od dwóch *Zdrowaś Marya* stoję przed twoim progiem?—Przepraszam serdecznie pana rejenta dobrodzieja za moją nieobyczajność; ale kiedy człowiek nad sobą zacznie dumać, a do tego smutek kole, to prócz o swojej biedzie, o niczem się nie pamięta. Cóż znowu! a jakaż bieda waćpanu siadła za kołnierzem?—Bój się Boga panie rejencie, czyż to nie ma nad czem się frasować? Rachowałem się dopiero z całego roku. Sam widzisz, panie, jak gorliwie pracuję. Cały ranek w ziemstwie, u grodu po-

długę podeptałem, że aż ślady moich nóg po niejby rozpoznać można; a czy jedną noc przesiedziałem nad papierami? Nie mogę tu się skarżyć, że darmo pracuję, a z rachunku pokazuje się jednak, że na drugi rok i pięćdziesiąt złotych się nie oszczędziło. Przecie zbytku u mnie niema, jem po szlachecku, piję co ludzie piją, a po ścianach majątku nie zawiesiłem. Sam widzisz, panie rejencie, że tu tylko cztery kąty i piec piąty. Innym się lepiej udaje. Naprzykład pan Eliaszkorbut, nasz kolega, dopiero wziął w dzierżawę ekonomię Nowogrodzką, a i synów w konwikcie wychowuje, i żonę nie bez wykwintności utrzymuje, i nigdy bez kilku przyjaciół swojej sztuki mięsa nie zaczepi, lubo z każdego szeląga swojego może się Panu Bogu wytłómaczyć. Ja podobnych wydatków nie mam, na siebie jednego pracuję, a nie tylko że o folwarkach nie myślę, ale kiedy za najęcie dworku zapłacę, to już mi się zdaje, że wielki ciężar spadł z głowy. Przecie do ludzi nie mniejsze od niego mam szczęście. Teraz toć wszystko nic, ale przyszłość mnie zatrważa.—Bardzo dobrze to rozumiem, zkąd to pochodzi, panie Sewerynie. Ty zawsze będziesz goły pokąd się nie ożenisz.—Pan rejent dobrodziej robisz po księżemu; innym żony dajesz, a dla siebie nie bierzesz.—To też z własnego doświadczenia czerpię rady dla przyjaciela. Oj, gdybym się był ożenił pokąd była jeszcze pora, czy takbym wyglądał, jak dzisiaj?

Dependowałeś u mnie; to już ci nie mam potrzeby mówić, jak do mnie pieniążki płynęły, daj ci Boże mieć tylko połowę mojego szczęścia. Najmożniejszych ludzi w województwie interesa przez moje przechodziły ręce; a plenipotentia panien Benedyktynek Nieświeżskich małoż mi wniosła? Ptaszego mleka tylko nie dostawało. A akta, któremi od lat 25 zawiaduję, czy to są żarty! Sam byłeś świadkiem, kiedy tenże sam pan Eliaszkorbut ofiarował mi rocznie dwanaście tysięcy za przychód kancelaryi, a po mojej śmierci z tem wszystkiem cóż znajdzie mój synowiec? dworek siaki taki w Nowogrodzku i trochę sprzętów, co je człowiek przez całe życie uzbierał, oto cała parada. Albo jedno i jedno już się nie naprzykrzyło? Dawnobym już próżnował, gdyby było o czem próżnować. Ale tak było zawsze ze mną; ja za kratami stoję, a o tem nie wiem, co się w domu dzieje; ten urwie, tamten uchwyci inny wydrwi: człowiek dla drugich ma rozum, a dla siebie głupi. Ja na kondescensyi, a słudzy sobie hulają, tam weźmiesz złoty, a w domu szkody na dwa. Oj bieda, i wielka bieda, kiedy tylko słudzy pańskiego dobra pilnują. A jak się domem zająć, kiedy czasu nie ma? Człowiekby rad wchodzić w przychód i rozechód, i nieraz brał się do tego, ale natuptawszy się dobrze część dnia, a drugą napisawszy się, że ledwo palce nie puchną, a fałdów przesiedziawszy w aktach, to jeśli jaka godzina znajdzie się

wolna, człowiek rad się w niej rozerwać, bo już i zdrowia nie staje, a cóż dopiero w rachunki się wdać. A i o duszy trzeba pomyśleć; aż wstyd, że o *Statucie Litewskim* cały dzień się myśli, a na rozpamiętywanie *Dziesięciorga Przykazań* i półgodziny się nie poświęca, ba! nie tylko wstyd ale i strach, żeby czasem nie oberwać czegoś za to na tamtym świecie. Gdyby była żonka, jegomośby pracował, a imość grosz do groszaby łączyła, a i wygoda w domu byłaby inna, i nimby się człowiek opatrzył, już majątek byłby zrobiony. Panie Sewerynie, w naszej Litwie księdzu i żołnierzowi tylko dobrze w bezzeństwie, a szlachcic, czy to rolnik, czy to prawnik, jeśli się nie żeni, to mu piątej klepki nie dostaje. Posłuchaj mnie starego! Wszak choć nie dla siebie, ale dla drugich nie raz i nie dwa mój rozum na coś się przydał. Jużes dość świata nadeptał, żeń się pókiś czerstwy. Toć tobyś ja nie był od tego, ale trzeba umieć brać się, a ja przez całe życie z żadną młodą białogłową nie rozmawiałem. Już piąty krzyżyk tuż nadchodzi; czyż pora uczyć się podobać panienkom? Szpakowacieć zaczynam, a ludzie mawiają: że do panny z siwym włosom, to jak do psa z jeżem. Będę po domach kopcerczaki stroił, czy się uda lub nie, — a chleb jaki jest i ten się zaniedba. — Ja waćpana wyswatam. — A z kim? — JW. Rejtanowa podkomorzyna Nowogrodzka ma w domu swoim na respekie krewną, pannę

Magdalenę Bohuszewiczównę. Panna uboga, ale znacznej krwi, i sama pocziwa z kośćcami; będzie z niej *ale* gospodyni, a nieszpetna; wszak znasz ją? — Widziałem ją kilka razy w kościele z JW. podkomorzną, przystojna panna, ale czyż ona mnie zechce? — O to pokój, bo to moja rzecz; podkomorzyna moja siostra stryjeczna, słowo moje coś tam waży. Do Hroszówki niedaleko, ja sam za waćpana się oświadcę, mnie nie odmówią, a tak spokrewnim się z sobą; jakóż odkąd cię poznałem, panie Sewerynie, pragnąłem z tak pocziwym człowiekiem naszą dawną przyjaźń ściślejusz skojarzyć węzłem. A jak weźmiesz pannę Magdalenę, kto tylko w nowogrodzkim karmazynowy, będzie twoim bliższym lub dalszym koligatem. — Kiedy pan rejent dobrodziej tak łaskaw na mnie, bądźże mi ojcem, ale żeby to się nie rozgłosiło przez czasem, bo nuż się nie uda, co ludzkie języki mnie nafrasują, to tylko zostanie w zysku. Niech się wtedy dowiedzą, jak będzie coś pewnego. — Wiesz, że wielomówstwem nie grzeszę; ze mną jak z księdzem po spowiedzi. Tylko żebyś zawodu nie zrobił, panie Sewerynie, bo jak mnie zarezykujesz, a potem placu nie dotrzymasz, pamiętaj, że to rzecz z domem uczciwym. — A, panie rejencie dobrodzieju, czym posłużył na posądzenie mnie o bałamuctwo? prędzejbym się śmierci spodziewał, niż taką mieć opinię u pana rejenta. — To tak się tylko mówi, sameś jurystą, więc

wybaczysz juryście nieco więcej ostrożności. Mam twoje słowo, spodziewam się, że i z tamtej strony je otrzymam, ani spostrzeżesz się, jak my ciebie ożenim. I tak zostawił mnie samego, ale w dobrej myśli, a to z tego powodu, że kilka dni przedtem na świętego Joachima był odpust zupełny u OO. Dominikanów Nowogrodzkich, z którego i ja nędzny grzesznik między tyloma prawdziwie pobożnymi korzystałem. Modliłem się do tego wielkiego świętego, a nawet mego patrona, bo jego imię przybrałem sobie, kiedy mnie, już pod dobrym wąsem będącego, bierzmował ksiądz Panczerzyński biskup Laodycejski, sufragan Nowogrodzki. Otóż modliłem się serdecznie do tego potężnego szafarza łask Bożych, aby mną kierował w wyborze stanu, ofiarując mu i ten mój, jaki był chętnie porzucić, jeśli mnie coś przeciwnego zainstynktuje; i Przenajświętszym Sakramentem uzbroiłem się na tę intencję. Kiedy więc pan Fabian, co mnie znał od tylu lat, który ze mnie zrobił jurystę, a nigdy do mnie nic podobnego nie mówił, a tu i żonę wynalazł, i brał na siebie o nią dla mnie się starać, i tak mię namawiał, bym wziął jego krewną, do wygód w domu możnym przywykłą, jak gdybym sam był możnym; on, któremu się był wypowiadał, że jest chudym pacholkiem; o czym i bez tego wyznania aż nadto mógł być pewnym,—wziąłem tedy jego sło-

wa za głos Boży, i nie wątpiłem ani że otrzymam pannę, ani że będę z nią szczęśliwym.

Szło mi już tylko o to, żeby mieć czem opędzić wydatki niezbędne dla żeniącego się kawalera. Bo i za ślub trzeba było zapłacić, i mieć w czym żonę wozić, i czemkolwiek domek, dotąd kawalerski, opatrzyć, by w nim żonę, i ją nawiedzające obywatelki przyjąć. Zdarzała mi się wprawdzie grzanka. Kahał Nowogrodzki miał sprawę ważną z JW. Niesiołowskim wojewodą. Grubo mnie ofiarowano, bym jechał do Wilna dla bronienia jej przed sądem nadwornym, ale choć byłem potrzebny, nie odważyłem się jej podjąć, bo Panu Bogu ślubowałem, że nigdy życiem moich usług nie poświęcę, mając to za ubliżenie i mojej chrześcijańskiej wierze i mojemu szlacheckiemu stanowi. Ale Pan Bóg wszystkiemu poradził. Tego samego dnia albowiem, w którym pan rejent raczył zająć się moim losem, W. Jabłoński wojski Nowogrodzki przysłał po mnie, bym odbył kondescensye na gruncie z OO. Dominikanami Nowogrodzkiemi, a że zgodnym sposobem skończyła się ta sprawa, na której dzwoniłem, bo sam kompłanacyę napisałem, W. wojski darował mnie bryczkę na pasach, którą przed rokiem dla siebie był sprowa-

dział z Warszawy, a jakiej nie było równej w całym Nowogródku. A ojciec prowincyał ofiarował mi tysiąc złotych. Kiedy więc w kilka dni potem mój łaskawca pan Fabian wpadł do mnie z doniesieniem, że już wszystko się ukartowało, i że trzeba mi z nim jechać do Hroszówki dla podziękowania JW. podkomorzynie, śmieiej z nim puściłem się w drogę, nie turbując się, by gdzieś chyba zapożyczwszy się, wydatki opędzić. A lubo byłem rad temu wszystkiemu co się robiło, cała jednak ta podróż nie obeszła się bez wielkiej niespokojności, a nawet i strachu. Coś to było naksztalt swisłockiej potyczki, gdzie się poznałem z kulami, idąc pierwszy raz na nieprzyjaciela, ale gorzej jeszcze, bo tam człowiek z kolegami niebezpieczeństwo podzielał, a tu samemu wystąpić trzeba było. Tam człowiek był pewny siebie, że tchórzem się nie pokaże, a tu obawa, żeby się głupcem z wielkiego pomieszczenia nie wydać. A im bliżej było Hroszówki, tem większy strach, tak, że wjeżdżając na dziedziniec zamkowy, gdyby się ziemia otworzyła, może byłbym w nią wskoczył. Ośmielał mnie jak mógł szanowny towarzysz, i szczerze chwalił się nademną. Jakoś to się odbyło przed JW. podkomorzą, która była pani wielkiej powagi, ale razem wielkiej wyrozumiałości. To prawda, że pan Fabian wszystko za mnie mówił; mruczałem sam nie wiem co, tyle tylko pamiętam, że dziękując do nóg jej padłem, i tak

odbyły się nasze zaręczyny. A ja i moja narzeczona wyglądaliśmy jakby delinkwenci, na śmierć skazani. I to mówię wedle relacyi szanownego rejenta, bom sam siebie nie widział, a na moję narzeczoną oczu nie podniosłem. Zamieniwszy pierścionki, po oznaczeniu dnia ślubu, opuściliśmy Hroszówkę. Że już było późno, a noc ciemna, nocowaliśmy w karczynie wiejskiej, i tam dopiero przyszedłem do siebie. Potem, jak się rozeszła wieść o moich zrękowinach, a zaczęli i sądziowie i koledzy i pacyenci łaskawi kosmato mnie witać, to była nowa przeprawa, ale byłem śmielszy, bo było wielu takich, co już przez to wszystko przeszli.

Jeżeli czasem mnie nadokuczano temi powinszowaniami, gdzie się bez takiego siakiego zarciku nie obejdzie, z drugiej strony miałem i wielkie pociechy, odbierając dowody wrodzonej uczynności litewskiej od obywateli, którym służyłem. Jak zaczęły chodzić do mego dworku sprzężaje, to ze zbożem, to z legominą, to z omastą, gdybym miał hrabstwo dziedziczne, moja żona obfitszej spiżarni znaleźćby nie mogła. A nie ^{była} wiktuałach był koniec. W. Łęski strażnik dał mi dwie krowy na nowe gospodarstwo; W. cześnikowa Bernowiczowa obrusy i tuziny serwet swojej roboty, ale które za hollenderskie ujęby mogły; a W. chorąży Rdultowski, chociaż nie miałem jeszcze

czasu na to u niego zasłużyć, beczką wina węgierskiego mnie obdarzył. Tak, że było i czem i na czem przyjąć tych, czyja łaska nas chciała nawiedzić. I dnia 25 listopada na świętą Katarzynę panna Magdalena Bohuszewiczówna została panią Sewerynową. Lubo przed ślubem pięciu słów do niej nie powiedziałem, a oprócz jej urody, która mi była wdzięczną, wiedzieć z doświadczenia nie mogłem ani o jej roztropności, ani o jej cnotach; przecie ją wziąłem bez obawy, owszem najlepiej o niej trzymałem, spuszczając się na instynkt Boży, i na charakter sędziwego jej krewnego, a mojego najosobliwszego łaskawcy, na którego zdaniu i radzie śmiało mogłem polegać. Jeszcze przy oddawaniu wieńca, pan Jakób Wereszczaka, vicesgerent Nowogrodzki, jak to zwykle bywało, wynurzywszy życzenia wszelkich błogosławieństw Bożych, i dobrą ich wieszczbę zwiastując w wybraniu na ślub dnia świętej Katarzyny patronki szczęśliwych stadel, wyliczył procedencye panny i jej koligacye z domami Rejtanów, Wańkowiczów, Rdułtowskich, Jeśmanów, Kiersnowskich i innemi starożytnymi a zasłużonemi krajowi w naszym województwie. A odbierając wieńiec, odpowiadał niezmordowany dla mnie w życzliwości szanowny mój niegdyś mecenas, pan Fabian Wojniłowicz, regent ziemski Nowogrodzki; w tej to mowie swojej tłómacząc powody mojej wdzięczności

Panu Bogu i Najświętszej Pannie, że mnie obdarzają tak zacną i pocziwą małżonką, niemniej otuchę w dal-sze ich błogosławieństwa, rozpatrując i jej cnoty i związki, któremi się połączam z tylu gwiazdowemi domami, nadmienil i to, że lubo podobnemi urządami mój ród szczycić się nie może, jednak jestem starożytnym szlachcicem; że zaścianek rozrodzonej mojej familii jest założony na ziemi nadanej od wielkiego księcia Witolda naszemu protoplaście na wzięcie w niewolę pod Orszą Murzy Ulan Muradyna i że dwaj z mojego domu są podpisani na elekcyi króla Stefana. A nakoniec podał za rękojmię przyszłego szczęścia mojej żony, pocziwość moję, za którą dał świadectwo, i niepłonne, znając mnie od lat kilkunastu, a doświadczywszy mnie lat kilka w swoim domu. Po odbytych ślubie, panu regentowi do nóg padłem, chcąc choć tą powierzchowną oznaką dać mu dowód uszanowania i prawdziwie synowskiej wdzięczności za tyle łask, które uwieńczył tą mową swoją. Umiałem czuć, ile pochwała mojego charakteru z ust tak szanownego męża przynosiła mi zaszczytu, a niemniej byłem mu wdzięczny, że się publicznie odezwał o mojej *prozapii*, bo biorąc familiantkę byłem rad, iżby wiadano, że i ja także sroce, jak to mówią, z pod ogona nie wypadłem. Potem, że JW. podkomorzyna sprawiała wesele, był wielki zjazd, i kielichy krążyły często, bo pan Fabian, będąc gospoda-

rzem, dopilnował, by wszyscy ubawili się jak potrzeba. Oprócz dwóch par sukienek i cukiernicy srebrnej, nic nie wziąłem po mojej żonie, ale wielki odebrałem posag w jej cnotach i w szczęściu, co go do mnie przyniosła. Przez lat blisko trzydzieści naszego pożycia, najmniejszego z jej strony zmartwienia nie doświadczyłem. Ośmnaście lat od niej starszy, jednak ją pochowałem. Taka była wola Pana Boga, żebym tęsknił czasem za chwilą, która mnie na nowo połączy z moją Magdusią. Nasza intercyza mogła być bardzo krótką; zapisywaliśmy sobie wspólne dożywocie na wspólnych nadziejach, bo nadzieja była całym naszym funduszem. Ale jakem ją zaprowadził do siebie, wszystko zaczęło iść jak z kłębka. Dwa lata nie upłynęły, a już i dworek, cośmy go dotąd najmowali, był naszą własnością, już kilka tysięcy leżało na procencie. Potem książe wojewoda Wileński powierzył mi swoje interesa. W kapitulacyi dostała mi się dzierżawa Doktorowicz. Ja siedzę przy sprawach, a Magdusia pilnuje gospodarstwa. Dobrze mawiał pan Fabian, że dobrze z żoną; w percepcie złoty, a w ekspensie srebrny grosz; a przecie lepiej się żyło, niż za mego kawalerstwa, bo codzień ktoś był na naszym barszczu, a na świętą Magdalenę co roku, nim nawet na wsi osiadłem, to w naszym dworku i sędziowie i koledzy, i nawet umyślnie ze wsi łaskawi przybywają, że w chacie pełno gości,

a dlatego majątek się robił. Coś się już dało, a po śmierci i folwarki i nieco pieniędzy wnukowie znajdują po ludziach. A co pracy po eksdywizjach przepadło, Bóg i ludzie wiedzą. Ciągłe doświadczałem błogosławieństw Bożych, mam co jeść z Jego łaski, bo i dom i świeronek we wszystko opatrzone. Raj byłby na ziemi, gdyby nie jedna rzecz, żebym już miał choć na starość dziedzictwo prawdziwe, żeby przynajmniej po mojej śmierci moi wnukowie mogli złożyć moje kości obok żoninych na ich własnem dziedzictwie; ale zupełnie własnem, bo już te zastawy się naprzykrzyły. Niech się jednak wszystko stanie, nie jak ja, ale jak Bóg chce.

XII.

Wołodkowicz.

Wielkie u nas złe, że zagraniczni ludzie chcą nas uczyć tego, co się u nas działo; a co gorsza, że młodzież nasza chętniej im wierzy, niżli nam, cośmy na to patrzali. Długi czas markotno mi było, że nie umiem po francusku, bo człowiek w książkach francuskich znalazłby jakąś rozrywkę; ale obcując z ludźmi uczonymi naszymi, podowiadawałem się od nich, że Francuzi o nas takie dziwolągi piszą, iż się cieszę teraz, że ich książek rozumieć nie mogę, bo niczego bym się nie nauczył, a cobym się nagniewał, to byłoby w zysku. Mówiono mi, że coś pisał o nas Dumouriez,

którego znałem osobiście, bo służyłem pod nim i długo. Był to dobry żołnierz, rozumiał gdzie postawić armaty, jak wytykać obozy i jak jazdą uderzyć na nieprzyjaciela. Jakoż my wszyscy sprawiedliwości mu nie ubliżamy, ani innym Francuzom co nam pomagali; bo był tam i Sohazy, równy mu w biegłości, i Garos zawołany inżynier, co ożeniwszy się z Polką, został naszym ziomkiem, i Kellerman, co całą gębą był kawalerzysta i wielu innych, których nazwiska już pozapominałem; byli ludzie mądry w swoim rzemiośle, ale chwała Bogu, ta ich mądrość nie była nad nasze mózgownice; nasi im nie ustępowali, a pewnie ani pan Puławski, ani pan Walewski, co potem został wojewodą Sieradzkim, ani Sawa marszałek Zakroczymski, od nich rozumu pożyczać nie potrzebowali i jeszcze ich samych mogliby czegoś nauczyć. Otóż ten generał Dumouriez wszystkiemu u nas przyszaniam, a tylko siebie chwalać, robi księcia Karola Radziwiłła głupcem. Inny Francuz którego nazwiska nie umiem wymówić ani wypisać, wydał dzieło o nierządzie polskim, w którym lubo więcej sprawiedliwości oddaje, jakoż chwali męstwo i wytrwałość księcia Karola, jednak przez piąte i dziesiąte coś zachwyciwszy, twierdzi, jakoby on na czele młodzieży rozbojem się bawił i okrucieństwa na Litwie popełniał, i w tem się godzi z Dumouriezem, że nasz książę rozumu nie miał i był barbarzyńcem. Ze książ-

że nie był po zagranicznemu oświecony, to pewna, ale że miał swój rozum i wielki, to jeszcze pewniejsza. Miał on to światło przyrodzone, które u nas zawsze w kąt zapiera światło nabyte: bo taki lepszy rozum z głowy, niż z książki, bo większa zaleta wielkie rzeczy zrobić, niżli umieć dobrze je opisać. Księżna hetmanowa W. L., ostatnia z książąt Wiszniowieckich domu, była pani wysokiego światła i książki nawet pisała. Ale nie mając jeno jednego syna, pieściła go do zbytku, tak iż książę Karol już rok piętnasty, a czytać nawet nie umiał, bo każdy nauczyciel, co go naglił do pracy, za jego oskarżeniem był natychmiast od dworu przez księżną matkę oddalony: a książątko tylko umiało w palcaty kłuć się z paziami, konia oklep dosiadywać, i z fuzyjki jajka na powietrzu rozstrzeliwać. Książę hetman zaczął miarkować, że synowi przecie coś więcej trzeba umieć, aby mógł kiedyś piastować przodków dostojństwa, i o tem księżną przekonał. Więc ta oświadczyła, że dwoma folwarkami dziedzicznie obdarzy tego, co go wyuczy czytać i pisać, bez żadnego się jemu sprzeciwiania. Znalazł się na to światły szlachcic pan Piszczalo, a to go wyniosło na majątnego obywatela, a później na podstolego Rzeczyckiego. On księcia Karola i dwóch jemu dodanych dla emulacyi obywatelskich synów, pana Ignacego Wołodkowicza, chorążycza nadwornego Litewskiego, i pana Michała

Rejtana, podkomorzycza Nowogrodzkiego, wyuczył czytać, pisać i pierwiastkowych nauk, bez żadnego przymusu, owszem ich bawiąc, a to sposobem: na wielkiej tablicy drewnianej było abecadło kredą napisane; każdy z uczniów stał o kroków kilkanaście od tablicy ze strzelbą w ręku nabitą i trafiał w litery wymienione przez nauczyciela, potem sylaby składane, potem wyrazy, nakoniec okresy; i tak wszystko kulami wyuczyli się czytać dobrze, a potem już z własnej ochoty wyuczyli się pisać: a trochę czytaniem a więcej jeszcze obcowaniem z ludźmi świadomymi wyuczyli się prawa krajowego, historii narodu i tej wówczas ważnej dla nas nauki znajomości stosunków i związków familijnych. A książę w dwudziestym roku wieku swego zostawszy miecznikiem Litewskim, bardzo był na swoim miejscu, tak dalece, że kiedy został marszałkiem trybunału Litewskiego, to juryści za głowy się brali: tak on poznawał co jest prawdą, a co jest wykrętem. I po skończonem urzędowaniu wkrótce drugi raz był obrany marszałkiem, i byłby im do śmierci, gdyby chciał, tak szlachta była mu rada, bo nikomu się nie dawał powodować, jeno własnemu światłu i sumieniu, i lepszych nie można było znaleźć doradców. Co się tyczy zarzutów, że w młodości okrucieństwa i rozboje popełniał, jest istna potwarz, która sama z siebie upada. Książę, co wołał na odpadłej Białej Rusi ośmdziesiąt tysięcy

dusz ojcowizny swojej utracić, niż odstąpić od swego przekonania, dowiódł, jak był szlachetny i delikatny w uczuciach. Ale będąc młodym, a nie znajdując pola, na któremby mógł zbyt żywe namiętności wynurzyć, na czele młodzieży najświetniejszej pędził życie po lasach Litewskich łowami zajęty: konno przebiegał kilkakrotnie całe wielkie księstwo, szukając wśród ogólnego pokoju niebezpieczeństw, w których mógłby doświadczyć nadzwyczajnej swojej odwagi. Jeżeli czasem przez swawolę jakiemu obywatelowi bydło pobili, lub jakie zabudowanie podpalili, o to nigdy nie było procederu, bo ponoszący stratę, sownie, jak sam żądał był nagrodzony, a na ludziach jakiegobądź stanu żadnego okrucieństwa nigdy nie dopuszczono się, tem więcej, że przy wielkiej porywczowości książe miał serce tak czułe, że znieść nie mógł cudzego cierpienia. Towarzystwo księcia Karola, które partya króla Poniatowskiego, prowadzona na Litwie przez księcia biskupa Wileńskiego Massalskiego, nazywała hajdamakami, było złożone z ludzi światłych, nieposzlakowanych w wierze dla kraju i nie żałujących dla niego krwi i trudów, i którzy wszyscy są godni niepoślednie zająć karty w dziejach naszych. Był tam pan Wołodkowicz, którego odwaga i nadludzka siła dziś za bajkę uchodziłyby mogły; on to był największy ulubieniec księcia, który do śmierci nie przestawał oplakiwać jego niefortunnego

zgonu w połowicy wieku. Był i pan Pac starosta Ziółowski, później marszałek generalny konfederacyi na Litwie, który dla nieodstąpienia od swoich zasad wołał w tułactwie zakończyć dni swoje. Był pan Rzewuski podstoli Litewski, księcia Karola szwagier, co był regimentarzem tej konfederacyi. On to w nocy przez lochy podziemne wprowadził nas do Krakowa. Był pan Ogiński wojewodzie Witebski, co gdyby nie zginął na pojedynku z rąk jakiegoś magnata węgierskiego, do najpierwszych w rzeczypospolitej doszedłby zaszczytów. Był pan Żaba, co został później wyniesiony na województwo Połockie jednomyślną wolą Połotyńców, bo to jedno było województwo, w którym do końca szlachta zachowała wolny wybór swojego wojewody. Był pan Ślizien sędzia ziemski Słonimski, który umarł w Carogrodzie z morowego powietrza, dzielając wygnanie księcia Karola. Był kniaź Lubecki, później marszałek Piński, zawołany statysta. Był pan Chomiński, później wojewoda Mścisławski, co marszałkował na sejmach i trybunałach zawsze przykładowie, był wielkim wierzopisem, i jakim słyszał od ludzi, którym wierzyć można, w Rzymie nawet za mądrego uchodził. Był pan Szczyt, co umarł kasztelanem Połockim, mąż w prawnictwie narodowem głęboki; nieodżałowaną jest szkoda dla publiczności, że jego pisma w tym przedmiocie zatracone zostały. Był Janusz Gorecki

i Maciej Derecis, co później w konfederacyi ani Francuzom nawet nie ustępowali w nauce wytykania obozów, i wielu innych jeszcze składających tak nazwaną *bandę Albejską*, których synowie i wnuki żyją. Zdaje się, że kto takiej młodzieży dowodził, i sobie jej ślepe przywiązanie uzyskał, nie mógł być sam bez wielkich przymiotów. Każdy z nich sposobił się do rycerskiego rzemiosła, im kto zapamiętałszy dał dowód odwagi, tem wyższy szacunek u kolegów otrzymał.

Razu jednego pan Wołodkowicz z oszczepem w rękę wyszedł pojedynczo na niedźwiedzia lekko postrzelonego, i śmiało go ugodził, ale oszczep złamał się między żebrami, a niedźwiedź do ostatniego stopnia rozdrażniony, rzucił się na niego: ten, nie tracąc przytomności, drzewcem w rękę zostającym tak silnie po łbie go uderzył, że niedźwiedź upadł przygluszony, a pan Wołodkowicz nie dawszy mu czasu przyjscia do siebie, kordelas w serce mu utopił. Pan Kostrowicki strażnikowicz Piński, także Albejczyk, w Łachwie na koniu siedząc przesadził rów dwa sążnie szeroki, a tyleż głęboki, który otaczał zamek Łachewski. Raz cała banda Albejska na dzielnych koniach, z naczelnikiem swoim nadeszła przypadkiem blisko karczmy, która się była ogniem zajęła. Ogień był straszny; aż tu pan starosta Ziolkowski z panem

podstolim Litewskim odzywają się do ratujących:— Idźcie precz! my za spaloną karczmę wynagrodzimy; będziemy się bić w sieniach, a nikt niech się nie wazy do nas przystąpić, póki z nas jeden rannym nie zostanie.—To wyrzekłszy, wlecieli do sieni i bić się zaczęli w pałasze, a że obydwaj byli gracze, potyczka długo trwała; siano zapalone ze ścieli na nich padało, w około nich wszystko gorzało, nie wiedzieć czem już oddychali; nakoniec pan Pac, obciawszy niżej ramienia pana Rzewuskiego, na swoich rękach go wyniósł z pośród ognia, tak że i suknie podpalone były, i sami osmaleni, że aż się z czupryn kurzyło. A któżby wyliczył wszystkie ich popisy! Niktby temu już dziś nie wierzył, gdybym opowiadał niektóre ich czyny, na jakie jednak patrzałem. Kiedy bezkrólewie nastalo, książę już był wojewodą Wileńskim, i szczerze pomagał królewiczowi; ale przeciwna partya najechawszy sejmik, a depcąc prawa pospolite przemocą, wszędzie sądy kapturowe narzuciła, nie dbając na manifesta szlachty. Ten co później został, Boże mu odpuść, sędzią kapturowym Nowogrodzkim, a wiadomo jest wszystkim, jak wielka powaga była kapturów, bo w czasie bezkrólewia jurydykcyje sądownicze zwyczajnie ustawały, a władza trybunalska, ziemska i grodzka, ścisła się w kapturach. Otóż będąc wielkim znawcą srebrników starożytnych, a nie gardził i nowożytną monetą, chcąc zastraszyć partyę

przeciwną panu stolnikowi Poniatowskiemu, wydał mandat, aby wszyscy Nowogrodzianie należący do bandy Albejskiej stawili się zawito przed sądem kapturowym, dla zdania odpowiedzi z zarzutów im uczynionych, jakoby wraz z księciem wojewodą Wileńskim rabunków i gwałtów się dopuścili po niektórych domach szlacheckich. Że ten mandat i na samego księcia nie był położony, domysleć się nie umiem, chyba to jedynie w celu, aby księcia od przyjaciół swoich odłączyć i w nich ku niemu nieufność wzbudzić. Jeżeli była myśl taka, pożądanego skutku nie otrzymała. Młodzież nowogrodzka hulała sobie w Nieświeżu, a ksiązę wcale się do czego innego gotował, jak do stawiania na wezwanie kapturów. Ale pan Wołodkowicz, przymusiwszy woźnego, co mu pozew położył, iż go połknął, napisał przez niego do sędziego, że na termin stanie z patronem swoim, którego woźnemu pokazał, a ten był nahaj z Boćkowskiej fabryki. Bo miał trzy nahaje: rzemienny na sędziego, jedwabny przeznaczony panu stolnikowi, co już otwarcie szedł do korony, a trzeci z nici złotych pleciony, na księdza biskupa Wileńskiego... Po czem dobrawszy sobie sześciu tegich rębaczy nadwornych nieświeżskich i dwóch z bandy Albejskiej, Węclawowicza i Wazgirda, jedynych do nadstawienia łba, puścił się do Nowogródka, chociaż rota wojska stała w mieście, i prosto poszedł ze swoim pocztem na

ratusz. Jak go sędzia przez okno obaczył, umknął tylnymi drzwiami, i aż w klasztorze Dominikanów się oparł, za sobą nie oglądając się. Pan Wołodkowicz przyszedłszy do izby, a sędziego nie znalazłszy, zawołał po trzykrotnie, gdzie pan sędzia kapturowy, co ma go sądzić. Pan rejent Matusiewicz, poufały sędziego, chcąc miną nadrobić, odezwał się: — A co tu waćpan nachodzisz juryzdykcyą, jakbyś nie wiedział, że ona ma *jus gladii* w rękę? — Pan Wołodkowicz: — A to piękny sędzia kapturowy, co *immotescen-cye* stronom posela, a sam w dzień terminowy się chowa, lubo go sam naznaczył. W niebytności sędziego juryzdykcyą przy panu pisarzu, więc mój patron przed waćpanem moję sprawę wprowadzi. — Dopiero pan Węclawowicz i pan Wazgird porwawszy pisarza, położyli go na stole sądowym, a pan Wołodkowicz swoją ręką odliczył mu sto batogów w obliczu całej palestry, patrzącej na to obojętnie, bo całkowita była złożona ze stronników Radziwiłłowskich. Oćwiczwszy pisarza, wszystkie papiery sądu kapturowego zabrał, i zawiózł je z sobą do Nieświeża, gdzie się dostał ze swojemi bez szwanku. Wkrótce po tem zdarzeniu, pan stolnik Litewski ogłoszony był królem; więc kaptury ustały, sądom ziemskim, grodzkim czynność wrócono i brano się do urządzenia trybu-

nału. Ale szlachcie nie można było zjechać się na deputackie sejmiki; który nie był z partyi króla, tego nie puszczono, a że mało kto na Litwie do niej należał, w wielu województwach po kilku obywateli sejmikowało. Tym sposobem zebrał się w Mińsku trybunał pod łaską jednego z głównych nieprzyjaciół księcia Karola Radziwiłła, jako i większa część tych narzuconych deputatów. Książę biskup Wileński postarał się, że po kapturach wybrano deputatów lekkich, o których był pewny, że to napiszą, co im kaze; i sam zjechał na *reasumę* trybunału, by uciśnić księcia i jego przyjaciół. Książę już miał nadzieję tylko w orężu, i podniósł konfederację Nieświeżską. Dla assekuracyi trybunału stał w Mińsku pułk szefowstwa księcia Massalskiego; na którego mógł się spuścić śmiało książę biskup, będąc bratem rodzonym szefa. Majorem w tym pułku był niejakiś pan Ro...., co miał jakieś przyjacielskie stosunki z panem Ignacem Wołodkowiczem. Księciu biskupowi i marszałkowi chodziło o to, by przestraszyć Radziwiłłowską partyę, a palając zemstą na pana Wołodkowicza, chcieli koniecznie żywcem go dostać, by do egzekucyi przywieść kontumacyjny dekret na niego zapadły, w którym kara śmierci była mu przygotowana za zbrojne najście kapturów. Układają się więc z panem Ro..... by Wołodkowicza przywabić do Mińska, a podły jurgieltnik takowego chwyta się sposo-

bu: przebrawszy się za żyda, przybiega do Nieświeża, a tam znalazłszy pana Wołodkowicza, wmawia mu że jest szczerze poświęcony Rzeczypospolitej i księciu wojewodzie, że większa część oficerów przekabaci się, i że cały regiment przystanie do konfederacyi Nieświeżskiej, prócz czterech oficerów i szefa, których powiążą. Trzeba więc koniecznie, aby pan Wołodkowicz, będący konsyliarzem konfederacyi, tajemnie zjechał do Mińska, by nie dać czasu ani członkom trybunału, ani księciu biskupowi umknąć z miasta, jak wybuchnie konfederacya, i że żywcem ich połapie co do jednego. Pan Ignacy, co oddawna ostrzył zęby na księcia biskupa, nie mógł się oprzeć mamiącej nadziei dostania go w swoje ręce. A że przy niesłychanem mężtwie był bardzo zarozumiały, nikomu się nie zwierzywszy, pewny swego, puszcza się samopas do Mińska, i przed samym świtem zajeżdża na kwatery pana Ro..... Ale już wszystko było przygotowane do jego zguby. W kilka chwil po jego przybyciu cały regiment otoczył dom majora: poznaje pan Wołodkowicz zdradę, ale po niewczasie; dobywa jednak szabli i rzuca się na wojsko. Żołnierzom zabroniono do niego strzelać, tylko bagnatów używać, bo go chciano koniecznie sądownie zamordować. Pan Ignacy po kilkakrotnie łamał szeregi, ale nowe natychmiast się stawiały, grożąc mu lasem strzelb bagnętami najeżonych. Żołnierze z tem większą skwa-

pliwością szli na niego, że obiecano sto czerwonych złotych tym, co go wezmą. Narobiwszy niemało trupa, a czując, że mając tak liczego przeciwnika, niepodobna się przedrzeć, cofnął się do domu pan Ignacy, a ztamtąd wleciał w sad za dworkiem będący, próbując wysunąć się gęstwiną, by się dostać do farnego kościoła, z kąd może nie odważonoby się jego porwać. Ale wszelkie drogi do niego już mu były przecięte, a płoty od ogrodu powywracane, by go co raz w ciemniejszym ustępie ściskając, nakoniec znużonego uchwycić. Co który do niego się zbliżył, śmierć albo ranę odbierał, ale widocznie już sam na siłach upadał. Był stary loch warzywny w ogrodzie; do niego się przedarł i nową walkę rozpoczął, jakby w niedobytej twierdzy. Chował się w lochu dla odpoczynku, a gdy widział żołnierzy w niego spuszcających się, biegł do góry, szablą ich siekał i do odwrotu zmuszał. Radyby mu nie dali, a trzeba było jak najprędzej go uchwycić, bo książę wojewoda Wileński co chwila mógłby mu przyjść na odsiecz; ale żyd faktor marszałka trybunału podał sposób, którym go złapano. Kazano z miasta wszystkie bety żydowskie poznosić i rzucać je w loch, a za nimi szli żołnierze, coraz więcej betów rzucając; tak go obrzucili, że już ruszyć się nie mógł, i dopiero żołnierze go wzięli. W ich rękę już będąc, jednego z nich ubił uderzeniem pięścią po skroni, a drugiemu szczękę

zwichnął; ale nic nie pomogło, związanego zanieśli do izby trybunałem zajętej na ratusz. Tam mu odczytano dekret sądu kapturowego, który to dekret bez dania mu czasu tłómaczenia siebie, bez słuchania go nawet, trybunał natychmiast potwierdził. Były w dekreście same tylko potwarze; między innemi było w nim, że pan Wołodkiewicz szablą posiekał krucyfiks na stole będący, a on nie tylko że takiego świętokradztwa nie popełnił, ale nawet szabli z pochwy nie wyjął; że nahażem obil rejenta Matuszewicza, tego się nie zapierał, ale to przestąpienie śmiercią nie mogło być karane wedle prawa. Juryzdykcyja kapturowa, będąc nadzwyczajną, nie do miejsca, ale do osoby jest przywiązana; zawsze się mógł tłómaczyć pan Ignacy, że w niebytności pana sędziego nie widział juryzdykcyi, za skrzywdzenie więc szlachcica, choć na ratuszu, ale *carente foro*, grzywny i wieza po sprawiedliwemu, a nie więcej nie powinno go czekać. Ale tu nie szło o sprawiedliwość, tylko o dogodzenie zemście. Pan Wołodkiewicz został zanieśiony do sądu, wybadany, osądzony, dekretowany, dysponowany na śmierć, a nakoniec rozstrzelany, to wszystko w przeciągu niespełna godziny. Zaraz po spełnieniu wyroku i trybunał i książę biskup rozjechali się, a w porę, bo książę wojewoda Wileński dowiedziawszy się, że pan Ignacy puścił się do Mińska, zaraz przeczuł jego niebezpieczeństwo, i na czele sześciuset koni, tak ban-

dy Albejskiej, jak i milicyi swojej nadwornej, których zebrał na prędcę, ruszył za nim do Mińska, i w sześć godzin po rozstrzelaniu przyjaciela stanął przed miastem. Regiment Massalskich próbował rogatki bronić, ale w puch został rozbity. Dopiero dowiedział się książę o nieszczęściu swoim, i nigdy nie przestał oplakiwać tej straty. Otóż więcej niż lat dwadzieścia potem, książę wojewoda Wileński jak zwykle obchodził dzień świętego Karola, na który, można powiedzieć, cała Litwa zjeżdżała się do Nieświeża. Książę wedle swego zwyczaju, otoczony sługami i domownikami siedział w sieniach zamku dla przyjęcia gości; naprzeciw każdego wychodził do drzwi i znowu wracał do swego głębokiego krzesła, póki dla innego przybywającego nie wstawał. A że każdy gość przybyły zostawał z nim w sieniach, póki się wszyscy nie zjechali, cały tedy ranek tam przebywał w coraz liczniejszym towarzystwie.

Razu jednego wszedł jakiś jegomość w wieku bardziej starym niż młodym; był w kontuszu mundurowym, skłonił się nisko przed księciem, jakoby żądając ośmieszenia, by mógł się jaką łaską przymówić. Książę to uważając, odezwał się: — Panie bracie, czego waśś żadasz? — Jestem abszytowanym oficerem wojsk rzeczypospolitej, życzyłbym sobie być umieszczonym w milicyi W. Ks. Mości. — Gdzież waśś służył? — W regimencie Massalskich, i oto mój ab-

szyt i świadectwo mojego sprawowania się, które śmiem składać księciu panu. — Książę rzuciwszy okiem na papiery, raptownie podbladł, i mocno zaszepiwszy się powiedział: — Wołodkowicza rozstrzelali! — W tem postrzegliśmy, że starający się o służbę okazał na twarzy nadzwyczajne pomieszanie; potem przyszedłszy jakoś do siebie, głosem dość śmiałym powiedział: — Nie zapieram się, iż w Mińsku wyprawdzałem kiedyś na śmierć pana Wołodkowicza, ale w tem moje sumienie żadnego mi wyrzutu nie robi: jako żołnierz, moją rzeczą było słuchać naczelników i dopełniać ich rozporządzeń. Jeżeli otrzymam służbę u W. Ks. Mości, równie wiernie będę dopełniał jego rozkazy, jakem dopełniał rozkazy króla i rzeczypospolitej. — Na to książę: — Wołodkowicza rozstrzelali! — i obróciwszy się do pana Tyszkiewicza starosty Wielatycznego, a pułkownika jego milicyi, będącego w dniu tym na służbie: — Każ waćpan natychmiast, aby tu przyszło trzech żołnierzy z mojej warty z bronią i ostremi ładunkami. Wołodkowicza rozstrzelali! — Wyszedł pan Tyszkiewicz, a my w największem podziwieniu czekamy, co z tego będzie. Oficer o służbę starający się stał jak skamieniały, istny trup. Żal było patrzeć; ponure milczenie panowało, przerywane tylko słowami: — Wołodkowicza rozstrzelali! — które książę co chwila kilka powtarzał coraz z mocniejszym poruszeniem. Nade-

szli żołnierze; ksiązę zakomenderował:—Nabij broń!
— my na siebie ze strachem spoglądali, żaden z nas odezwać się nie śmiał, a tu widocznie gotował się występki, który nie mógł nas nie gorszyć, bo lubośmy duszą i sercem byli oddani księciu, jednak będąc szlachtą polską, nie radzi byliśmy zostać świadkami, jak się depcą prawa krajowe. — Wołodkowicza rozstrzelali! — odezwał się ksiązę. — Weźcie serce z papieru czerwonego i przyłóżcie go. — Oficer od warty przyskoczył do oficera abszytowanego pułku Massalskich i zabierał się serce mu przyszpilić, a ksiązę: — Gdzie serce kładziesz? nie tu, przyłóż go temu jeleniowi, co jest na tym wiszącym kobiercu. — Cała ściana u sieni była zakryta ogromnym kobiercem francuzkim, wyrażającym łowy na jelenia; oficer jeleniowi wyżej łopatki serce przyczepił, ksiązę zakomenderował: — Ognia! — i trzy kule przeszły jelenia. Potem ksiązę wstał z wypogodzonym obliczem, prosząc nas z sobą na pokoje. Massalczyk stał jak śnieg majowy; ani się można było dowiedzieć, gdzie się on podział. My z księciem cały dzień wesoło przepędziliśmy, i ani wspomniał ksiązę o zdarzeniu, którem nas tyle strachu nabawił.

XIII.

S a w a.

Bez najmniejszej przesady nie tylko doświadczeniem, ale myślą nawet niemożna objaśnić większego zaszczytu, jak było szlachectwo polskie. Szlachcic najuboższy był równy magnatowi: przy pomocy Boskiej mógł sam zostać magnatem (jak tego bywały przykłady), a tej równości z magnatem nie tracił nawet służąc u niego. Pan Radziszewski, chorąży Starodubowski, służył u księcia wojewody Wileńskiego, był u niego paziem, potem dworzaninem, potem dowódcą jego milicyi i generalnym plenipotentem; a przecie urzędował rzeczy-

pospolitej, posłował na sejmach i został orderowym panem. A że był starożytnym szlachcicem, ożenił się z siostrzenicą księcia Brzostowską, panną z tak wysokiego domu, i nikt się nie dziwił, gdy sam książę sprawiał wesele. Wszyscyśmy równi byli między sobą. Pan był szlachcicem bogatym, a szlachcie był panem ubogim; że zaś magnat był zawsze wysokim sługą rzeczypospolitej, szlachcie u niego służąc, służył razem i ojczyźnie. Teraz namnożyło się podpanków, co nie służąc ojczyźnie, nie z tego co boli, często nawet ani z soli, ani z roli, ale z jakichś tam podradów, z nabytków niekoniecznie uczciwych, z handelków, z lichwy i poprostu z kradzieży, porobili sobie majątki znaczne; a że i dziadów swoich okazać nie mogą, tylko albo pod cudze szlachectwa podszywają się, albo wymyślają takie, o których ani Paprocki, ani Okólski; ani nawet Niesiecki nie wiedzieli, więc krzyczą na możnowładców dawnych, do których pewnie żaden z nich za naszych czasów ani by dostąpił, i wynoszą pod nieba postęp teraźniejszego wieku. Nie wiem, kto w narodzie korzysta z tego postępu. Mieszczan, co nam wyrzucano, żeśmy ich nie mieli, i teraz nie widać, tylko po dawnemu handlują żydzi, lub gdzie niegdzie jaki Niemiec przybyły, a włościaninowi nierównie gorzej. Na Litwie już bojarów zmuszono do robocizny, a na Ukrainie, zamiast dawnych dni letnich, co ich tylko po dwa-

naście na rok chłop odrabiał, pędzą go pańszczyzną od Nowego Roku aż do świętego Sylwestra dzień po dniu. Plecie młodzież Wileńska i Krzemieniecka o prawach człowieka, to co pochwytala z zagranicznych książek; a nie wie, że co tam jest w piśmie, u nas było w doświadczeniu, i dokładniej; że nasi przodkowie lepiej umieli tworzyć, niż zagraniczni potrafili wymyślić. Ale czyż tylko na równości zasadzało się szczęście i powaga naszego szlachectwa? Szlachcie nie mógł być ani rządzonym ani sądzonym tylko przez tego, kogo sam wybierał; a z zagrody swojej mógł się przenieść i na ławicę poselską, i na krzesło senatorskie, i na tron nawet. To też nasi przodkowie krwią swoją tego zaszczytu dokupywali się dla potomków; hetmani podawali do klejnotu szlacheckiego żołnierzy, co się w bitwach odznaczyli, a sejmy za szlachtę ich przyznawały i takich nazywano *ex charta belli*. Ztąd w ostatnich czasach, kiedy król Poniatowski otrzymał pozwolenie od narodu dać dziesięć dyplomów sekretnych na szlachectwo takim, co szlachtą nie byli (jak to widzieć w konstytucyi 1766 r.), a pozwolenia tego nadużył, zamiast dziesięciu może kilkuset uszlachcając, co sejmy były o to skargi i choć daremne ze strony posłów dopominania się, aby metryki koronne im okazywano, bośmy składali stan rycerski,

i w samych dyplomatach zawsze były dodawane te wyrazy: *praeviso scartabellatu*.

Była wprawdzie przez czas niejaki konstytucja ubezpieczająca szlachectwo każdemu żydowi przyjmującemu wiarę katolicką; prawo pobożne, przeciw któremu nie godziło się sarkać, gdyż zgodne było z gorliwością narodu, chcącego wszelkimi środkami rozprzestrzeniać królestwo Boże; ale takowe szlachectwa nie miały u nas poważania, bo zdawało się nam, że stan rycerski w rycerskich tylko zasługach powinien szukać swojego początku. Szlachectwo *ex charta belli*, choć świeże, było na równi z najstarożytniejszem uważane. Nie podszrywano się dawniej pod cudze szlachectwo, ale prawnie onego dostępowano. Hetman Żółkiewski podał do szlachectwa czterdziestu mężów włościan, co się wstawili pod Kluzyńnem, a sejm im wszystkim nadał przezwisko Żółkiewskich, tylko kazał pieczętować się nie Lubiczem Żółkiewskich, ale jakimś innym herbem, dla uniknięcia familijnego zamieszania. Toż i Rewera Potocki, hetman wielki Korony, podał do klejnotu szlacheckiego wielu chłopów Ukraińskich, co nie tylko że do buntu Chmielnickiego należeć nie chcieli, ale pod hetmanem krew za ojczyznę przelewali. Sejm potwierdził jego sprawiedliwe żądanie, ztąd na Rusi powstał Jaroszyńscy,

Sabatynowie, Ułaszyny, Mazarakowie i inni, którzy bez niczyjzego zgorszenia weszli w udziałność szlachecką, a z których ojczyzna miała potem pociechę. Dlatego bardzo nam było przykro, kiedy przybysz jaki, przywłaszczwszy sobie szlachectwo, za jednego z naszych chciał uchodzić, bez innej przyczyny tylko że miał pieniądze. Więc też na takiego zawsze się znachodził potomek zasłużonego przodka, nierad aby czy mieszczanin, czy popowicz, czy chłop zbiegły, mógł zostać jego sędzią, prawodawcą, a może i królem. Ten mu zadawał *imparitatem*, i gdy tego dowiedział, samozwaniec cały majątek tracił, który *jure caduco* dostawał się temu, co go przekonał o nieprawym posiadaniu zaszczytu, i z narażeniem się własnem uwolnił obywatelstwo swojego województwa od zakazu; bo gdyby dowieść nie potrafił, sam byłby karany *poena talionis*. Młodzieży gadaj o tem, to słucha jakby o żelaznym wilku; albo ona rozumie, czem to było nasze szlachectwo? Wie ona z historyi, że Jan Zamoyski podpisał się *Nobilis Polonus omnibus par*; a może o tem nie wie, że na Litwie jest ze dwadzieścia domów, co książęcego tytułu nosić nie chcą, chociaż mają do niego niezaprzeczone prawo. Nie tylko Ogińscy ale Puzynowie, Swirscy, Mićkiewicz, Wańkiewiczowie, Mirscy, mają mitry w herbach, i są prawdziwymi książętami, do czego się nigdy nie przyznawali przez miłość równości naszej.

A potem, cóż księstwo prawdziwemu szlachcicowi mogło dodać? Jeszcze to nienajdawniej, kiedy książę De Ligne, panujący w Niemczech, ożeniwszy swojego syna z naszą Massalską, starał się o *indigenat* dla siebie na sejmie 1786 r., i ledwo otrzymał ten zaszczyt z takimi trudnościami, że powiedział publicznie: — Łatwiej w Niemczech o udzielnosć, niż w Polsce o szlachectwo. — I dziwi się młodzież, że ci sami, co długo trutynowali, czy tak wielkiego męża, hetmana cesarza Rzymskiego i księcia panującego przyjąć za szlachcica lub nie, obruszali się na jakiegoś rzecznika albo muzykusa, co sam siebie nobilitując, zdeptał najkardynalniejsze prawo narodu! Zresztą doświadczenie przekonywa, że z ludzi podejrzanego szlachectwa niewielka pociecha. Czytałem w podróży do Ukrainy zachodniej przez pana Sakowicza wydanej, że w okolicach Machnówki obywatela jeden drugiemu psy i konie kradną. Taka rzecz, dawniej po szlachcie niesłychana, mocno mnie była zastanowiła, i temu wierzyć nie mogłem; ale już teraz miarkuję, zkąd coś podobnego wyjść mogło. Dowiedziałem się, że JW. Potocki starosta Guzowski, z wymysłu pańskiego zostawszy handlarzem, do swojego miasteczka Machnówki przywabił był na buchalteryą, do której szlachta nasza niezdatna, różnych przechrztów, a popowiczów, a mieszczańców: tego do pióra, tego do kasy, tego do transportów. Ci

ichmość uzbierawszy grosza, szlachtą się porobili, i już między siebie porozdzielali część dziedzictwa starosty; a że podział kraju zaraz nastąpił, to im uszło, i *via facti* utrzymali się przy szlachectwie: teraz ich synowie urzędują i nosy do góry zadzierają. I cóż może być dobrego z takich? Nie lepiejże było za naszych czasów, kadukiem pozbyć się takiego śmiecia, niż jak dziś być niem obsypanymi? Chwała niech będzie Bogu, że jeszcze na Litwie szlachta się trzyma, i od dziadów naddziadów na dziedzicznej roli pracuje. To też takich paskudztw o nas nie piszą. Tłómaczę więc jasnie, dlaczegośmy nasze szlachectwo tak wysoko cenili: nie była to pycha, ale natura naszych ustaw, naszej Rzeczypospolitej; a kto był jej zasłużonym, tem samem mieliśmy go nie tylko za szlachcica, ale za magnata, nawet choćby się był urodził chłopem. I tego dowód pan Sawa, co był prostym kozakiem, *nobilitacyi* nie miał, a był marszałkiem Zakroczymskim, i w czasie konfederacyi zasiadał między pany.

Służyłem pod ś. p. panem Sawą, i przy mnie Panu Bogu ducha oddał: a chociaż nie chwając się starożytnym urodziłem się szlachcicem, (bo każdemu w metrykach koronnych wolno odczytać, jak sześciu mojego nazwiska podpisało się na elekcyi króla Stefana), umiałem być mu posłusznym. A nie tylko ja

i mnie podobni, ale JW. Potocki wojewodzie Wołyński był pod nim regimentarzem, i chociaż magnat całą gębą, drżał przed nim.—Razu jednego, że nie dość prędko dopełnił jego rozkazu, przez co nieprzyjacielowi udało się ująć prawie z rąk naszych, pan Sawa zaczął łajać wojewodzica i zagroził mu, że jeżeli kiedykolwiek dopuści się podobnej opieszałości, każe mu w łeb wypalić. To było w obec kilku panów spokrewnionych z wojewodzie, a nikt nie powiedział:—Co to ma kozak gnębić senatorskie dziecko?—bo wszyscy mieli Sawę za równego sobie. Jakoż w istocie, poświęceniem się swoim wyrównywał on tym zasługom, które magnaci po przodkach odziedziczyli, i przez które byli magnatami.

Sawa urodził się w starostwie Czehryńskim, z kąd był i ten przeklęty Chmielnicki (takto z jednego drzewa i krzyż i motyka); a że od dzieciństwa umiał śpiewać dumki i grać na bandurce, pan Woronicz, wówczas starosta Czehryński, przywiózł go małym do Warszawy, i gdy go odumarł, Sawa po dworach służył za kozaczka, ale podrosłszy cokolwiek, bandurkę rzucił, a nawykł do innych zabaw. Spisą i szabłą tego robił, na polowaniach zające z pistoletu nbił, naszego języka się wyuczył, bo mając szlachetne serce, jak najmniej chciał się różnić od szlachty. W czasie siedmioletniej wojny, w pułku Szybilskiego

(prostego jak on włościanina) u Niemców służąc, taką sobie zjednał sławę, że tam los mógłby sobie być zapewnić; ale zateśkniwszy za krajem, do niego wrócił, a jako nieszlacheć, nie mogąc się w komputowem wojsku umieścić, na nowo musiał po panach szukać służby. Kiedy się zaczęła konfederacya, był wielki zjazd w Piotrkowie na reassumpcyi trybunału. Mnóstwo było panów z licznemi pocztami; a że wielcy panowie wszyscy prawie mieli dobra na Rusi, do kilkuset kozaków zbrojnych przyprowadzili z sobą. Sawa także się tam znajdował, i wisił przy dworze JW. Działyńskiego, marszałka trybunału, a będąc sam kozakiem, łatwo się z kozakami porozumiał, i tak koło nich pochodził, że jak na cztery tuzy w tryszaku, mógł na nich rachować.—Kiedy pan Kwilecki, starosta Kościański, rozbiwszy oddział nieprzyjaciół pod Rozrażewem, zbliżył się tutaj, Sawa zebrał do pół trzecia sta dworskich kozaków, wśród dnia wyszedł z Piotrkowa, spotkał po drodze rejterujących się, napadł na nich, rozbił do reszty, zabrał armaty, samych wziął w niewoli, i złączywszy się z panem Kwileckim, z nim razem szedł do miasta. To zdarzenie było dla konfederacyi stanowczem. Pan Kwilecki oddał Sawie dowództwo swojej przedniej straży, i zaczęli maszerować ku Warszawie. Jako Sawa upew-

nił, że stolica dostanie im się w ręce, że gwardya koronna z nimi się złączy, a mając mieszczan po sobie, stojącego tam wojska nie ma czego się obawiać, tak też źle zrobiono, że pana Sawy nie posłuchano. Doshedłszy do Bolimowa, pan Kwilecki odebrał wiadomość przez obywatela, co się do niego przedarł, że Kujawy i Płockie są gotowe do powstania, byle się do nich wojsko konfederackie zbliżyło. To go zdecydowało zaniechać Warszawę, której prawie dotykał, a co prędzej dostać się na prawy brzeg Wisły. — Nuż nam się nie uda opanować Warszawy — mówił Sawie — jeżeli porażeni zostaniem, co być może, natenczas wszystko przepadnie na Wielkiej Polsce, której ledwo trzecia część powstała; lepiej nam się wzmoćnić w Płockiem, otworzyć związki z Litwą, a dopiero na pewno pójść do Warszawy.

Napróżno Sawa ofiarował się ze swoją przednią strażą iść do szturm, byle mu tylko pan Kwilecki stał w odwodzie, aby w przypadku do niego mógł się cofać; napróżno cały szwadron pułku Mirowskich, prowadzony przez porucznika Franciszka Dzierżanowskiego, przeszedł na naszą stronę pod samym Bolimowem, i świeżem doniesieniem potwierdzał wszystkie wnioski Sawy o duchu stolicy i gwardyi; nic nie mogło przekonać pana Kwileckiego. Był on dobrym żołnierzem, i w wojsku francuskim kilka-

naście lat służył; ale na nieszczęście więcej wierzył w zagraniczne prawidła sztuki wojskowej, niżeli w instynkt polskie, a do tego popierał go w zdaniu Gawar, inżynier francuski przy nim będący, w którym szczególną miał ufność. Z boleścią serca tedy Sawa musiał prowadzić przednią straż ku Wyszogrodowi, gdzie szczęśliwie przez Wisłę się przeprawili.

Pod pewnym względem nie zupełnie pomylił się pan Kwilecki; bo jak tylko gruchnęła wiadomość, że nasi opanowali Wyszogród, całe Kujawy i Płockie podniosły konfederację. Oddzielił więc od siebie Sawę w trzysta koni, dał mu pod komendę pana Franciszka Dzierżanowskiego z częścią Mirowskich, i kazał iść do Zakroczymia, aby rozszerzać powstanie po Mazowszu, a sam poszedł do Płocka, dla poparcia wzrastającej konfederacyi. Pan Dzierżanowski z początku chciał drzeć koty ze swoim dowódcą, jako szlachcie i oficer gwardyi z kozakiem; ale pan Sawa tak mu się dał poznać, że lubo przy nadzwyczajnem męstwie był bardzo burzliwym, słuchał go jednak potem jak dziecię piastunki. Mnóstwo młodzieży mazowieckiej do naszych się garnęło i zaciągało się pod znaki Sawy. Od nich dowiedział się, że w Zakroczymiu stoi batalion wojska przeciwnego. Ci widząc, że dąży ku miastu, wyszli na przeciw niego, tem pewniejsi zwycięstwa, że silny oddział karabinierów

przybył im w pomoc z Warszawy. Rozwinawszy się przed Zakroczymiem, ledwo naszych zoczyli, dali ognia z armat, a potem posunęli naprzód swoje kawalerję. Pan Sawa zalecił p. Dzierżanowskiemu cofać się z częścią wojska, a sam zakryty jego obrotem rzucił się w lewo, by napaść na piechotę, skoro się jazda oddali. Doskonale się udało, Pan Dzierżanowski, niby uciekając przed karabinierami i jazdą, tak ich w pole za sobą wyprowadził, że pan Sawa miał czas pokazać się jak piorun pod samym Zakroczymiem. Jak go spostrzegła piechota nieprzyjacielska, uszykowała się w czwórebok i sypnęła ognia; ale pan Sawa nie dał jej się poprawić; czwórebok złamał, cztery armaty zabrał i batalion w pień wyciął. Opamiętała się dopiero jazda wrogów na słuch wystrzałów, że się oddaliła za nadto, i wzięła się co prędzej do odwrotu. Chociaż pan Dzierżanowski już jej na karku siedział, w największym jednak porządku szła myśląc, że do swojej piechoty się cofa. Wtem pan Sawa, jak ją przywitał kartaczami z armat przez siebie zdobytych, wszystko się rozsypało: *ten do lasa, ten do Sasa*, a pan Dzierżanowski nabral tego ile sam chciał.

Po tak świetnem zwycięztwie, wszedł pan Sawa do Zakroczymia, a nie tracąc czasu, zgromadził szlachtę, aby co prędzej sporządziła akt powstania.

Tak się podniosła konfederacya w Zakroczymiu, której marszałkiem Sawa jednomyślnie ogłoszonym został, a regimentarzami obrani byli: pan Potocki wojewodzie Wołyński i pan burgrabia Zakroczyński.

— Bójcie się Boga, panowie — mówił pan Sawa. — Ja prosty kozak, jakże wam szlachcie mam marszałkować?

— Innego marszałka nie chcemy! — krzyknęła szlachta — Pan Bóg i twoje zasługi naśliniły cię polskim szlachcicem, nim sejm za takiego przyzna.

Przy tem nie byłem, ale tak o tem wiem, jakbym na to patrzył; bo wiem to i od samego pana marszałka Sawy, i od pana Dzierżanowskiego, i od pana burgrabiego, i od wielu innych, z którymi później służyłem, a każdego relacya na jedno się godziła. Dość, że ta sama szlachta, co nie tylkourzędzika, ale wioski dzierżećby nie pozwoliła nieszlachecowi, marszałkiem swoim ogłosiła kozaka. Bo nasza duma szlachecka nie była *ad destruendam, sed ad aedificandam patriam*. A sam widziałem, jak inni marszałkowie, nawet J.W. Pac, co był nad niemi wszystkimi, obcowali z p. Sawą jak z równym, i tyle go szanowali, że gdyby był wyniesiony nie tylko na marszałka, ale i na kasztelana Krakowskiego, niktby z pocziwych przeciw temu słowa nie powiedział: taki z niego był

i wielki wojownik i dobry obywatel. I ciągle się od-
tąd wslawiał marszałek Zakroczyński; gdzie było
największe niebezpieczeństwo, można było iść o za-
kład, że i on tam jest. A że ludzie obok niego i za
nim padali, że kule ustawicznie robiły mu dziury
w odzieniu, tak, że zawsze łatany chodził, a sam ni-
gdy ranny nie był; Rusini zaś są zabobonni, ztąd mię-
dzy jego kozakami urosło przekonanie, że on był
charakternikiem, jak mówią na Ukrainie, to jest, że
umiał kule zamawiać, aby go żadna trafić nie mogła.
Od nich i do nas ta pogłoska się rozeszła, co go bar-
dzo obrażało; raz, że był dobrym katolikiem, powtóre,
że jako rycerz, miał sobie za krzywdę, gdy o nim my-
ślano, jakoby dlatego na niebezpieczeństwo śmiało się
narażał, że wiedział iż mu się nic nie stanie: i nieraz
byłem świadkiem, jak przeklinał swoje szczęście, co
mu rany dostać nie pozwalało. Ale na biedę nam
wszystkim, przekonałem się, że nie wiedzieć co wy-
myślono. Bo kiedy pan Sawa później chciał jeszcze
spróbować, czy mu się nie uda wziąć Warszawy,
zebrał z różnych komend do tysiąca koni (i ja mu się
wtedy dostałem); szliśmy lasami powiatu Radomskie-
go, gdzie często po drodze udawało nam się gromić
oddziały nieprzyjacielskie. Pod Jankowicami nawet
na potęgśmy jeden zbili, i możebyśmy samego wo-
dza żywcem schwytali, gdyby pan regimentarz Po-
tocki nie był się o pół godziny spóźnił; wszelako wzię-

liśmy przeszło dwieście huzarów, których wszystkich
pan marszałek kazał zakłuć: pastwiono się nad nimi.
Pan Sawa był ludzki, i z niewolnikami zawsze się ła-
godnie obchodził; ale że ten oddział wielkie okrucień-
stwa wymyślał, więc pan Sawa dla żołnierzy tego
pułku był bez litości. Poszliśmy dalej, zawsze dążąc
do Warszawy, a Wejmarn na czele sześciu tysięcy lu-
dzi oddzielił się, by nas ścigać i zastąpił nam drogę
pod Mszczonowem. Sawa, choć nierówny w sile, od-
wagi nie stracił. Mszczonów był w ręku nieprzyja-
ciół: wielki staw przedzielał ich od nas, a grobla dłu-
ga prowadziła do miasteczka. Już część jazdy prze-
szła była groblę, i od naszej strony zaczęła się szyko-
wać. Pan marszałek umyślił napaść na nią, nim
reszta wojska przejdzie, aby skrzydłem atakując, od
grobli ją oderznął. Uszykował tedy do boju swoje
wojsko, i pana wojewodzica Wołyńskiego zostawił
w odwodzie, z półtorasta koni na przeciwników
uderzył. Pierzchnęli oni w nieporządku, i już byłby ich
odciął; ale nad samą groblą na wzgórkach, stały ich
armaty, które jak dały ognia, od pierwszego wystrza-
łu pan marszałek dostał kartaczem w udo i spadł
z konia. Kozacy, co byli do niego jak do ojca przy-
wiązani, a mieli go za *charakternika*, widząc go ran-
nym, bardzo się przelekli, jednak rzucili się ku niemu
na ratunek. Skoro go podźwignięto, z największą
przytomnością oddał dowództwo regimentarzowi Za-

kroczymskiemu, zlecając mu, by ścigał rozproszoną jazdę obcą, a sam dał się kozakom zanieść na rękach pod karczmą, przy której stał wojewodzie Wołyński z odwodem, gdzie i ja się znajdowałem.

Zaczęliśmy obwiązywać jak mogli udo pana marszałka: poznać było po twarzy, że mocno cierpiał, jednak najmniejszego jęku nie wydał, tylko wszystko patrzył na komendę swoją, którą regimentarzowi poruczył; ale ten jej rady dać nie mógł, bo jak spostrzegli ludzie, że już nie Sawa ich prowadzi, tak zaczęli pierzchać, że uciekający nieprzyjaciele, opatrzywszy się, wrócili do szyku i pędzili naszych, a tu coraz więcej ich jazdy przechodziło przez groblę. Pan Sawa widząc, że dobrowolnie nasi się gubią, choć udręczony boleściami, ale nie mógł siedzieć. Kazał więc wynieść kołyskę z karczmy, przywiązać ją do dwóch najlepszych swoich koni, na których posadził doświadczonych kozaków, a samego siebie w nią włożyć, okręcić pasami i końce ich do terlic kozackich przymocować. Tak niewygodnie i niebezpiecznie wisząc na powietrzu między kozakami, wziął w rękę proporzec i prowadził nas do ataku; opamiętał uciekających naszych żołnierzy, zawrócił ich z sobą, i pomimo najokropniejszych boleści dając niesłychany przykład męstwa, złamał szyk przeciwny i zmusił do ucieczki. Ale wszystko było późno: już

piechota i armaty przepawiły się przez groblę. Jak zaczęli ognia do nas dawać, sam pan marszałek pomiarkował, że nie ma nic do czynienia, tylko albo uciekać albo doczekać się, że do jednego wszystkich nas wystrzelają. Lubo boleści jego coraz więcej się wzmagały, że ledwo od rozumu nie odchodził, z największą przytomnością prowadził nasz odwrót przez Mszczonowską Wolę.

Przedzieliwszy się wsią od ścigającej nas jazdy, którą dwa razy był przewrócił, a która trzeci raz gotowała się sięść nam na karku, ze dwóch stron razem kazał wioskę zapalić. Ponieważ wiatr był silny, w momencie cała stanęła w płomieniach, i to wstrzymało dalszy postęp. Dopiero pan marszałek rozdzielił swoje wojsko na dwie połowy. Dowództwo jednej oddał wojewodzie Wołyńskiemu, a drugą poruczył regimentarzowi, nakazując im najusilniej, aby każdy inną drogą cofał się ku Krakowskiemu województwu, i nigdy nie łączyli się z sobą; sam zaś z dwoma kozakami i ze mną, który go nie chciałem odstąpić, zostając na miejscu, pożegnał się, swoich pocieszył przyrzeczeniem: że jak tylko ranę wyleczy, znajdzie ich gdziekolwiek byli. Wszystkie konie zostawiliśmy przy komendzie, a pana marszałka piechotę na rękach naszych zanieśliśmy w głąb lasu, i całą noc przepędziliśmy w krzewinach, ratując go jak było

można. Coraz bardziej jednak upadał na siłach i czasem nawet omdlewał. Nazajutrz rano, zawsze z szanownym naszym ciężarem, puściliśmy się dalej w las na wolą Bożą. Błąkając się po lesie, trafiliśmy na chałupę, jak się potem okazało, podleśniczego Mszczonowskiej puszczy, i oddawszy się Bogu, na oślep do chałupyśmy weszli: bo trzeba było koniecznie w spokojnem miejscu złożyć pana marszałka, inaczej byłby nam skonał w ręku. Podleśniczy okazał się poczciwym szlachcicem; bo choć ubogi i obciążony dziećmi, ostatkiem się z nami dzielił. Mnie i kozaków poprzebierał za gajowych, a własną pościel w zamkniętej komórce oddał panu marszałkowi, którego podleśniczyna pielęgnowała. Potem sami w nocy wózkiem udał się do Mszczonowa i przywiózł cyrulika. Ten opatrzył ranę pana marszałka: udo tak mu było spuchłe, że wszystko musieliśmy pruć na nim. Boleści odnowiły się okropnie: przy pierwszym opatrywaniu już nie mógł wytrzymać, jęknął kilka razy i zemdlął, żeśmy go ledwie odtarli; a przyszedłszy do siebie powiedział nam:—A co! prawda żeś nie charakternik — i pokazując swój szkaplerz dodał:—Cały mój inkluz! innego nigdy nie miałem.

Umówił się cyrulik, żeby co nocy po niego przyjeżdżano; a szanowna nasza gospodyni, pani Kleczkowska, której, jako i jej mężowi, powierzyliśmy,

co za wielkiego człowieka mają w swoim domu, miała o nim staranie jak o rodzonym ojcu. Dobrze nam szło przez tydzień. Pan marszałek zaczynał przychodzić do siebie, i na jednej nodze skacząc, przenosił się już z łóżka do kufra p. Kleczkowskiej, na którym siadywał, aby nie nadto zleniwieć. Cyrulik robił nam nadzieję, że za parę tygodni najdalej, na koniu będzie mógł siedzieć. Ale w Mszczonowie stała komenda nieprzyjacielska, bo pan wojewodzie Wołyński nie umknął, i w kilka dni po rozstaniu się naszym, rozbity dostał się do niewoli z mnóstwem ludzi, gdyż ze trzechset przeszło żołnierzy ledwo pięćdziesiąt uszło, a resztę zabrano, lub pobito. Otóż Wejmarn, dowiedziawszy się od jeńców, że Sawa ranny w Mszczonowskiej potyczce, niewiadomo gdzie się podział, wnioskował sobie, że koniecznie musi się ukrywać gdzieś niedaleko. A że jemu bardzo szło o to, aby go dostać, raz że to był jeden z najdzielniejszych wodzów konfederacyi, powtóre, że chciał na nim pomścić się wielu swoich huzarów, którym pan marszałek, płacąc za ich okrucieństwa, kazał ręce i nosy poodrżynać; oddzielił więc od siebie pułkownika ze znacznym oddziałem, kazał mu stanąć w Mszczonowie i koniecznie pojmać Sawę.

Dośledzili przeto prędko, że cyrulik Mszczonowski tajemnie w nocy wyjeżdża: łapią go i dopóty

biją, aż się przyznaje, że w lesie opatruje jakiegoś rannego; biorą żyda, sadzą go na konia, aby był ich przewodnikiem, i dwie czterdzieści koni za nim ruszają do leśnej chałupy. Otoczyli ją nagle, a kilku z nich wpadło do izby: gospodyni im grzeczności robi, zapytuje, czy nie chcą sobie czem poczęstować; ale oni nie mówiąc, prędko przetrząsają wszystkie kąty, a postrzegłszy komorę zamkniętą, wysadzają drzwi, i zastają pana marszałka siedzącego już z pistoletem w ręku.

— Pierwszemu z was, co do mnie przystąpi, w łeb strzele! — zawołał Sawa. Oficer cofnął się natychmiast, lecz kazał chałupę zapalić. Ja i dwaj kozacy wynieśliśmy z izby pana marszałka. Jak go ów oficer obaczył za domem, szyderskim tonem odezwał się do niego: — *A co mospanie! teraz kapitulujesz.*

— Oto moja kapitulacya — odpowiedział marszałek i pierś mu przeszył kulą. Tedy drugi oficer krzyknął: — *Zakłuc go!* — My, choć bezbronnii, ciałem naszym zaczęliśmy go zaślaniać; ale jak jeden żołnierz urznął mnie szablą po łbie, krew mnie oblała, i straciłem przytomność, a kilku na mnie wpadło z postronkami, i zaraz związany anim ruszyć się nie mógł. Pana marszałka, bezbronnego i leżącego, zaczęto kaleczyć niemiłosiernie: jeden oficer, jak się pokazało Polak w służbie obcej, bił go po głowie drzewcem

od spisy; nasi dwaj kozacy to widząc, gołemi rękami odepchnęli nikczemnika; ale on ich zakłuc kazał, i obadwaj skonali tuż przy mnie, mając oczy na pana marszałka obrócone. Oficer od jazdy zgorszył się postępkami Polaka, i sam zaczął zaślaniać naszego wodza, mówiąc: *leżącego się nie bije* — przytem reflektował go, że jak żywcem przyprowadzi Sawę do generała, to prędzej dostanie nagrodę, niż gdyby trupa przywiózł.

Na jednym wozie obu nas przywieziono do Mszczonowa; mnie skrepowanego i ze łbem obwiązany, a pana marszałka kilkakrotnie pokłutego z głową opuchłą, z bandażem od rany oderwanym, że do człowieka nie był podobny. Każde ruszenie ciasnego wozu było dla mnie istną torturą, a cóż dopiero pan marszałek musiał cierpieć! Jednak nie skarżył się, tylko całą drogę odmawiał Psalmu pokutne tak przejmującym głosem, że chociaż temu lat pięćdziesiąt i więcej ile razy mówię lub słyszę: *Miserere mei, Deus, secundum magnam misericordiam tuam*, zaraz mi staje przed oczyma nieboszczyk marszałek Zakroczymski, łzami się zalewam, i teraz to pisząc płaczę.

Przywieźli nas do Mszczonowa, gdzie już miał komendę generał, człowiek godny i pełen charakteru. Obszedł on się z nami bardzo po ludzku, do pana Sawy mówił z uszanowaniem, i część kwatery swojej mu

odstąpił, którą z nim podzielałem wedle woli jego. Potem z błotem zmięszal oficera za barbarzyńskie jego z nami, a szczególnie z marszałkiem postępowanie; swojemu felerzerowi kazał nasze rany opatrywać, i zapytał p. Sawę czego żada, oświadcżając, że starać się będzie wszelkie jego rozkazy wypełnić.

— Nie długo panu generalowi naprzykrzę się— odpowiedział mąż— bo czuję, że wszystko się kończy; ale prosiłbym o księdza. — Jakoż natychmiast sprowadzono proboszcza, który go wyspowiadał, dał mu Ciało Pańskie, i odmówił modlitwy, które za nim pan marszałek powtarzał bardzo przytomnie i tak wyraźnie, że nie mogłem do głowy sobie przypuścić, aby był bliskim śmierci. Potem zasnął cokolwiek, ale wkrótce się ocknął i powiedział mi: — Oto masz szkaplerz, w którym są zaszyte relikwie świętego Wojciecha: jak skonom, zdejmiesz go i zaklinam waćpana, byś go oddał p. Kazimierzowi Puławskiemu, staroście Wareckiemu. Jeśli ci się uda kiedy z nim zobaczyć, powiedz mu że do śmierci był jego przyjacielem, a on niech ten szkaplerz nosi jako ostatnią odemnie pamiątkę. Waćpan nie zapomnij o mojej duszy. — To powiedziawszy, zażądał wody, wziął do ust, ale już przełknąć nie mógł; coś zaczął mówić niewyraźnie, można tylko było dosłyszeć, że świętego Wojciecha wzywał, i zaczął konać. Nie pamiętam co się ze mną działo, ale jednak wypełniłem jego roz-

kazy; szkaplerz zdjąłem, i nosiłem na sercu, póki nie zobaczyłem się z W. starostą, co nie prędko nastąpiło; a odkąd mam kawał własnej ziemi, co rok egzekwie mu sprawuję.

XIV.

Pan Leszczyc.

Choćby mnie rzędu i dziwakiem za to nazwano, wszelako wypowiadał się z przekonania mojego, że już dziś nigdzie niema praw między ludźmi. Są rozkazy, urządzenia, ustawy, często mądre i zbawienne; ale nie prawa. Bo żeby prawo było prawem, trzeba mu czegoś więcej, niż to: że jest mądrym i zbawiennym; trzeba aby miało u podległych sobie miłość i wiarę, trzeba żeby do wykonania jego, kiedy niesmaczne, nie kruki, ani żołnierze zmuszali, ale przekonanie wewnętrzne i sumienie ciągnęło.

Ztąd mi się widzi, że prawodawca nie tyle mądrym, ile świątobliwym być powinien, a prawdziwe prawo nie jest rzeczą jedynie ludzką, i bez jakiegoś Boskiego natchnienia obejść się nie może. Władza prawodawcza nie była dawniej jak dziś urzędem, lub rzemiosłem, ale powołaniem; prawnictwo nie było nauką, ale obyczajem. Mysłmy nie znali takich jak teraz widzimy w Wilnie profesorów, co za roczne pensye, opał i kwaterę uczą prawa krajowego i tłómaczą je. Naszymi nauczycielami były: doświadczenie, obcowanie z ludźmi świadomymi, chodzenie koło spraw, przypatrywanie się sądom, przysłuchiwanie się rozmowom dotyczącym się związków i interesów familijnych, a nakoniec gospodarstwo i pożycie domowe. Bez tego wszystkiego niech kto i dziesięć lat siedzi w Wilnie pod profesorem, niech wszystkich praw na pamięć ponaucza się, dlatego prawnikiem nie będzie. Bo żeby być prawnikiem, rozumie się gdzie jest prawo, trzeba być obywatelem. Jakoż u nas każdy prawie obywatel był prawnikiem, i kiedy bywało zapiszą się na kompromis, nawet na jakiego magnata, ten chociaż pewnie w palestrze nie był, nikogo jednak nie prosił, by mu dekret napisał. A kto był prawdziwym obywatelem, ten nie kończył na

tem, że miał dobra, ale miał wiarę, nałogi, tryb życia, myśli obywatelskie, i dlatego był prawnikiem, a w razie i prawodawcą: bo takiemu Pan Bóg instynktu nie odmawia.

Czytałem z uwagą najdoskonalszy ze statutów tegoczesnych: Kodeks Napoleona. Jestto rzecz bardzo mądra, bardzo pożyteczna; wszystko tam objęte, wszystko przewidziane. Że ci co go układali, nie dla ozdoby głowy mieli, któżby o tem wątpił? ale też że się nie w Imię Boga zbierali, to jeszcze pewniejsza. I dlatego do wykonania tych ustaw potrzeba mnóstwa urzędników, a siepaczów, a wart, a więzień, a szpiegów, a kosztu, że ledwo nie można byłoby drugie tyle wojska utrzymać za to na obronę kraju; bo każdy wie, że ten kodeks jest tylko rzeczą ludzką, a każdy człowiek sobie samemu przynajmniej tyle rozumu przyznaje, ile innym ludziom. Gdzie nie ma miłości i wiary, trzeba siły; a więc już nie prawo, ale siła rządzi, i to tak wszędzie.

W Nowogródku gród miał tylko dwóch pachołków do zmiatania izby sądowej: oni składali całą siłę jurysdykcji, a przecie ludzie możni z rozkazu sądu grodzkiego wieże odsiadawali; bo jak ksiądz kiedy na spowiedzi pokutę naznaczy, warty grzesznikowi nie daje, tak i gród dekret tylko ogła-

szał, a strona sama go spełniała. Przyjeżdżał osądzony do grodu, przed nim oświadczał gotowość. potem szedł na wieżę, i tam naznaczone niedziele wysiedziawszy, przed tymże grodem manifest zanoślił, że swoje odbył i powracał do domu z sumieniem czystem; albowiem kto prawu zadość uczynił, nie miał nic sobie do wyrzucenia względem ojczyny, szacunek publiczny mu się wracał, i mógł spać. Wielkie było zamięłowanie obywateli dla swoich praw u nas, a nie słuchać prawa, to była taka hańba, że kiedy na nim dekret nakazujący wieżę ogłoszono, a on się ociągał, to oczu nie śmiał podnieść między ludźmi. Ztąd, kiedy szlachcie został bardzo skrzywdzony, obity naprzykład, nie rwał się do korda, jakby za lada przymówkę, ale udawał się do prawa; a grzywny, które w nawiązce swojej krzywdy na napastniku zyskał, hańby mu nie robiły, bo dopełnienie woli prawa owszem sławę przynosiło. Gdy JW. Kalinowski, starosta grodowy Winnicki skrzywdzony został na publicznym gęścińcu przez pana starostę Kaniowskiego, który go kazał wyciągnąć z pojazdu i obatożyć (jak mnie o tem mówił W. Szczeniowski, starosta Trechtymirowski, w czasie konfederacji jeszcze), to pan Kalinowski, chociaż był możny i przytem do korda tęgi, nie wyzwał na rękę pana Kaniowskiego, jakby gardząc prawem pospolitem, albo jak gdyby u nas

zwierzchności nie było, ale drogą prawa szukał sprawiedliwości i znalazł ją: bo pana Kaniowskiego na dwunastoniedzielną więź osadził, a tak wielki bassarunek na nim zyskał, że nie potrzebując się z niego bogacić, ale obracając na chwałę Pana Boga, wymurował piękny kościół z obszernym klasztorem, w którym dotąd OO. Kapucyni mieszkają. Bywały przykłady, że kiedy kto prawnie był osadzony na gardło, a był tchórzliwego serca, to własna familia jego sama się przyczyniała, aby dekret nie został bez wykonania. Obywatel, ścięty z woli prawa, familii swojej nie kaził; dekret zaś niespełniony, jakby wisiał nad nią. Panu Samuelowi Zborowskiemu głowę zdjęto w Krakowie za zniwagę majestatu królewskiego; a dlatego panowie Zborowscy najpierwsze urzędy piastowali, i z tego powodu żaden z nich na sławie nie cierpiał. Byli prawda niektórzy bracia pana Samuela skazani później na banicyą; ale sami niemało złego nabroili, powstając na zwierzchność własną, a szukając opieki u zagranicznego rządu. Wszakże jeden z nich, pan Jan, kasztelan Gnieźnieński, gdy był stateczny obywatel i wielki senator, umarł w wieku sędziwym pełen sławy i zaszczytów, i nikt jemu nie wymawiał, że miał braci niegodziwych.

Czasem sam winowajca podawał dobrowolnie głowę pod miecz, wołąc umrzeć obywatelem, niż

ochraniając nędzny żywot, który wiekować nie może, żyć w niesławie. W czasie konfederacyi Barskiej pan Baworowski, podstarosta Trembowelski, konsyliarz tejże konfederacyi, mąż ojczyźnie zasłużony, który z nami do ostatka bronił Częstochowy, razu jednego na obiedzie u pana Puławskiego, starosty Wareckiego, gdzie i ja na szarym końcu siedziałem (a zjadaliśmy pieczeń końską, bo nie była pora wymyślać), opowiadał nam, że jego ojciec, będąc także podstarostą Trembowelskim, musiał feroować dekret śmierci na obywatela majątnego, pana Leszczyca, z którym był kiedyś w szkołach, i nawet żył w przyjaźni. Ten pan Leszczyca zakochał się był w rodzonej swojej synowicy, i chciał się z nią ożenić, jako i ona nie była od tego. Wiadomo, że namiestnicy Chrystusa Pana zastrzegli, aby krewni nawet do czwartego stopnia nie wiązali się w małżeństwa, czego dotąd Kościół wschodni pilnuje. U nas przez długi czas sami monarchowie od krewnych unikać musieli: bo za takowe kazirodztwo papieże ich wyklinali, chcąc aby oni z siebie dawali przykład posłuszeństwa prawu kościelnemu, a nie gorszyli poddanych. Ale potem, jak wymyślono słusznie czy niesłusznie, że monarcha nie może mieć żony innej, tylko córkę jakiegoś także monarchy, więc ponieważ monarchów na palcach łatwo policzyć, wkrótce nie sposób było znaleźć

królewiczowi królowny, coby z nim jakiegoś pokrewieństwa nie miała, zwłaszcza, że oprócz nas i Węgrzynów, wszędzie spadkowo królowie panowali. Udawano się zatem do papieżów, aby temu poradzić; a że *cujus est condere, ejus est tollere*, i do tego już papieże zaczęli słabiec dla monarchów, dawali im tedy dyspensy. Królowie tak się między sobą zaczęli wiązać, że królewska żona, nie raz, ani dwa, ale kilkadziesiąt razy jest krewną mężowską, aż nakoniec zwiodły się rody królewskie. Zamiast tych roslých, pięknych i walecznych monarchów, których obrazy widujem, i o których tyle wielkich rzeczy czytamy, powyradzały się jakieś nędzne, chorowite, bojaźliwe, do szweców podobniejsze niż do królów licha, że już ludy zaczynają się sromać swego posłuszeństwa, i jeden naród po drugim pozbywa się naprzykrzonych i paskudnych tych rodów; a na czem się to wszystko skończy, co nam do tego? niech o sobie myślą! Dość, że za granicą, i szlachta poszedłszy za przykładem królów, papieżom naprzykrzała się o dyspensy, i z krewnymi się kojarzyła; dlaczego też i ona swój ród zwiodła, już tam na umyśle zupełnie upadła, tylko mieszczuchy książki piszą i uczą naród rozumu; oni po sądach mecenasują, ba nawet prawa stanowią, i naród im wierzy, bo mają rozum, a szlachta poszła w poniewierkę, jako dumna samem głupstwem. To

kiedy do nas napłynęło szlachty francuskiej, co tu uciekała w czasie koliszczyzny tamecznej, że cudze zawsze się podoba, panowie i panie chwyтали tych zbiegów, jako nauczycieli mądrości. Wielu z nich widziałem, a żadnego nie znalazłem takiego, coby umiał po łacinie. Z przeproszeniem pań naszych, poznałem, że to byli głupcy, i nie dziwiłem się, że ich przepędzono; bo rządzący powinien mieć więcej światła niż rządzony, a kiedy go ma mniej, niech ustąpi, jeśli nie chce czegoś gorszego się doczekać. U nas magnaci nie składali stanu oddzielnego, byli szlachtą, byli narodem, na przestronnem polu dobierali żon dla synów; dlatego też wysoki rozum ich się trzymał. A który magnat francuski czy niemiecki prawo napisał, lub nareszcie książkę porządną ułożył? niech go pokażą! Z korzennych i bławatnych sklepów wychodzą tam prawodawcy, statysci, rymotwórcy, dziejopisarze. Nie tak jak u nas: Lwy Sapiehy, Piotry Herburty, Maksymilianowie Fredry, Wacławcy Rzewuscy, Ignacowie Krasiecy, Ignacowie Potoccy, Tadeusze Czaccy, co wszyscy byli jaśnie wielmożni i siedzieli na urzędach swych przodków.

I u nas zdarzało się, że magnat żenił się z krewną, z tego bywała nawet pociecha dla kraju, bo *nulla regula sine exceptione*; wtedy tylko źle, kiedy to się zagęszcza, jak za granicami. Ale

u nas, chwała Bogu, niełatwo było o dyspensę nawet magnatowi, a szlachcicowi tak trudno, że i myśli podobnej do głowy nie przypuścił. Pan Leszczyca, będąc bardzo zakochany, wyrabiał się jak mógł w nuncyaturze, i niemal kosztu poniósł, a taki dyspensy nie wskórał. Bo trzeba było dowieść, że się dom na pannie kończy, że z domu majątek wyjdzie, i inne jakieś przyczyny kanoniczne położyć. A że się jeszcze nie nauczono konsystorzem podawać fałszywych inkwizycyi na krzywoprzysięstwie opartych, pan Leszczyca musiał z kwitkiem powrócić. Ale że już zabrnął w namiętność, przywabił synowicę do swojego domu, i sam siebie dyspensując, zaczął z nią mieszkać po bydłecemu, z wielkiem zgorszeniem całej ziemi Trembowelskiej. Krewni zrazu perswadowali, aby się opamiętał; potem, gdy na wszystko był głuchym, o takowe porubstwo zapozwali go do urzędu, i sprawa się wytoczyła przed Grodem, w którym pan Baworowski podstarostował. Po odbytych inkwizycyach, po wysłuchaniu świadków, po rozstrząśnieniu dowodów i odwodów, zbrodnia okazała się jawną, że nie było sposobu mitygować ostrości prawa. Pan Baworowski osądził pana Leszczyca na gardło. Ale po ogłoszeniu dekretu, pan Leszczyca umknął, jak się potem okazało na Węgry, i śladu po sobie nie zostawił. Gród, swoje zrobiwszy i zadość uczyniwszy

sumieniu, nie troszczył się o pana Leszczyca, gdzie się on obraca; lat wiele minęło, nikt o tem już nie gadał, i co tam kogo mogło obchodzić, że dekret leży niewyegzekwowany w Grodzie, kiedy winowajca może i tak umarł? Dość, że majątek pana Leszczyca spadkobiercy wzięli, a pan podstarosta synowi kiedyś o tem wspomniął z dyskursu, jako o rzeczy dawnej. Umarł pan podstarosta, umarł jego następca, a pan Baworowski, co u nas był konsyliarzem, otrzymał urząd, piastowany niegdyś przez ojca. Wkrótce potem pokazuje się człowiek w wieku podeszłym, i stawia się przed nim, przyznając się, iż jest tym samym Leszczycem, którego ojciec jego na śmierć dekretował; że mól serca gryźć mu nie przestał za to, iż wzgardził prawem ojczystem i od jego spełnienia się uchylił; że nie mogąc dłużej znieść wewnętrznych udřeżeń, przychodzi poddać się wyrokowi, i tylko prosi, aby o jego duszy nie zapomniano. Jakoż najprzykładniej po kilkakrotnie, bo nikt jego do śmierci nie naglił, spowiadał się; Ciało i Krew Pańską przyjął, i cały tydzień jedynie z Bogiem obcował za pośrednictwem kapłana, a to w dworku otwartym i bez straży, z którego mógł wyjść gdzieby mu się podobało; potem przyszedł do Grodu oświadczając swoją gotowość, i nazajutrz w asystencyi księdza poszedł na rynek, na którym kat już go czekał. Tam

wziąwszy ostatnie błogosławieństwo od księdza, przemówił do ludu, zalecając mu bojaźń Boga i posłuszeństwo prawu, a tak czule, że to był sądny dzień, tyle po całej Trembowli narobił płaczu. Na koniec ukląkł, i wprzód kata przez pokorę w rękę pocałowawszy, prosił go, aby podczas gdy się będzie modlił rzecz swoją zrobił. Jakoż wymawiał imię Jezus, Marya i Józef, kiedy mu głowa na ziemię upadła.

XV.

Pan Borowski.

Pisałem o bandzie albeńskiej, a mało kto wie, co znaczyła ta banda, do której tak się starano należeć, iż każdy miał sobie za wielki zaszczyt być jej członkiem. Książę Karol Radziwiłł, będąc jeszcze miecznikiem Litewskim, utworzył ją w Albie, domu wiejskim z ogrodem pod Nieświeżem. Pan Piszczalo, niegdyś księcia nauczyciel, trafiając w myśl jego, przepisy tej bandy ułożył. Patenta podpisywał książę, jako naczelnik towarzystwa, którego kanclerzem do śmierci był pan Ignacy Wołodkiewicz, a sekretarzem pan Michał Rejtan. Każdy członek w listach

podpisywał się „Radziwiłłowski przyjaciel“, a książę go nazywał „panie kochanku.“ Że zaś zawsze ze swoimi Albeńczykami obcował, to nazywanie: *Panie kochanku*, zamieniło się u niego w przysłowie, które ustawicznie powtarzał. Mundur Albeńczyków był barwy radziwiłłowskiej: kontusz słomianego koloru, żupan błękitny, pas umyślnie na to w Słucku robiony, srebrny w orły czarne z trąbkami, spinka z emalii błękitnej, na której z brylancików była cyfra ze trzech liter: K. X. R. W tym mundurze trzeba było chodzić w Nieświeżu: a gdyby kto, nie mając patentu, ważył się gdziekolwiek ten mundur wdziać na siebie, mógł być pewien, że zostanie zmuszony go zrzucić. I tak pan Skirmunt, co był księcia komisarzem na księstwie Birżańskim, nie będąc do tego upoważnionym, ale zaufany w stopniu, który trzymał między sługami księcia, pokazał się raz w tym mundurze na licznej zgromadzeniu u pana Burby, cześnika Rosieńskiego, a rządzący generalnego ekonomii Szawelskiej. Ale na swoje nieszczęście znalazł tam dwóch prawdziwych Albeńczyków: pana Bonifacego Sołohuba, koniuszego Nowogrodzkiego i pana Jana Wierzejskiego, rejenta sądów zadwornych. Ci na niego napadli, mundur zdarli, i jego samego wyszturchali, lubo to było w uczciwym domu. Pan Skirmunt o to się żalił przed księciem; ale książę nie tylko że przyznał słuszość panom Sołobuhowi i Wierzejskiemu, ale nawet od-

dał pana Skirmunta; bo sam ściśle przestrzegał ustaw zgromadzenia, którego był twórcą.

Żeby być przypuszczonym do tego grona, trzeba było być szlachcicem karmazynowym i osiadłym, tę gim do konia choćby najdzikszego, w sztuce łowieckiej doświadczonym, i niepospolitej odwagi. Książę nie mógł nikogo patentować, jeno za wstawieniem się dwóch części całego towarzystwa. Obowiązki patentowanych były: stawiać się na każde wezwanie księcia konno i w całym rynsztunku, iść z nim gdzie ich poprowadzi, a nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, w każdym wypadku łba nadstawić za honor Najświętszej Panny, księcia wojewody, swój własny, i każdego z członków towarzystwa. Były rozmaite przepisy dla tej szkoły prawdziwie bohaterskiej: w rzędzie innych ten, że dwaj Albeńczycy, mający między sobą zajście, nie mogli się ciągać po jurydykcyach, a powinni byli rzecz kończyć u siebie, zdając się na jednego z kolegów, który w pewnych okolicznościach miał władzę pozwolić im nawet rozprawy na szable, jeśliby innego nie było sposobu do zgody. Z tego powodu zdarzył się zabawny wypadek w Nieświeżu, który szczególnie okazał dobroć księcia.

Razu jednego zjechało się kilku Radziwiłłowskich przyjaciół w Samuelowie u JW. Mikołaja Mo-

rawskiego, generała wojsk litewskich; między nimi był pan Leon Borowski, od śmierci pana Wołodkacza najpoufalszy domownik księcia i pan Bonifacy Sołohub, co to kiedyś pana Skirmunta wyszturchał. Pan Bonifacy strzelał nie po tem, bo miał wzrok krótki; ale z oszczepem na niedźwiedzia żwawo chodził, był silny i nieustraszony. Miał on strzelbę dwururną hiszpańską, nad jaką lepszej u samego księcia nie było, i zawsze z sobą ją woził. Pan Leon, co nadzwyczajne miał oko, chciał jej koniecznie dostać i różne mu proponował facyendy. Ofiarował za nią cztery konie siwopstrokate, któremi przyjechał do Samuelowa; ale i to było na próżno, bo lubo pan Bonifacy do nich dość się palił, był twardy i ciągle go zbywał, powtarzając: — Prędejsię się ze skórą, niż z dubeltówką rozstanę. — Na co ci się ona zda, kiedy ty strzelać nie umiesz? — Czy umiem, czy nie umiem, to nie twoja rzecz; a strzelby nie dam. — A jużci kto ma strzelbę, powinien okazać, że ona mu się zda na coś. — To szczęście, że ty nie jesteś łowczym wielkim Litewskim, bo twój zarzut mógłby mnie obchodzić; ale wiem, że może strzelam tak dobrze jak ty. — Możesz tego dać dowód; niedaleko dworu jest knieja niewielka, ale dobra; obrzućmy ją siecią, mam sforę gończych z sobą, od których lepszych i w Nieświeżu nie znajdziesz, a cała psiarnia JW. generała jest na twoje usługi; on obławy nam nie odmówi, ani dojeżdża-

czów. Pójdźmy więc ze świtem do kniei; prócz ciebie nikt strzelać nie będzie. Jeżeli wyniesiesz zwierza, ja ci oddam moje cztery konie; a jeżeli skwasisz polowanie, pożegnaj się ze swoją strzelbą. — Zgoda, ale zrobmy układ na piśmie i wręczmy go JW. generałowi; bo jak ubiję zwierza, to ty żarcikami gotów mnie zbyć: — wszak my się nie od dnia wczorajszego znamy. Pisz, co ci się podoba, ja wszystko podpiszę, bo wiem, że ubijesz zwierza, jak ci na nosie chyba siędzie.

Wziął tedy pióro i papier p. Bonifacy, i napisał tranzakcyą formalną, mocą której p. Leon Borowski, komornik Słonimski, obowiązywał się oddać panu Sołohubowi, koniuszemu Nowogrodzkiemu, cztery konie siwo-pstrokate wraz z uprzężą, jeśliby ten na polowaniu, warunkami określonym, w przeciągu trzech godzin ubił zwierza; w przeciwnym zaś przypadku, strzelba dwururna p. Sołohuba, z napisem: *Diego mas Toledo*, złożona w ręce JW. Mikołaja Morawskiego, generała Lit., uproszonego na egzekutora dobrowolnej tej umowy, miała przejść na własność pana Borowskiego. Tranzakcyą podpisana została przez obie strony i pieczętarzy; a JW. generał natychmiast wszelkie przygotowania rozporządził.

Cały dzień pan Leon napastował pana Bonifacygo żarcikami, ale pan Bonifacy fantazyi nie tracił

i powtarzał:—Obaczmy, kto wygra zakład. — Naza- jutrz przed piątą jeszcze, wszyscy już byli w kniei samuelowskiej, zwanej Koski. Po niej jakim czasie, wprzód nim psy głos dały, usłyszano strzał. Wszyst- kich to mocno zadziwiło, aż tu pan Bonifacy wydo- bywa się z gestwiny ciągnąć za ogon jednego z psów pana Leona, którego dopiero przestrelił i odzywa się:— Proszę o konie; ubilem zwierza!— Jak to!— po- wiedział pan Leon — ty za psa mnie zapłacisz, a po- każ zająca, jeśli chcesz, aby konie były two- je. — Przeczytaj opis, panie bracie, tam o zającu nie ma wzmianki, tylko o zwierzu, a spodziewam się, że pies zwierzę.— Do kogo innego waćpan idź ze swoje- mi krotofilami, a ja pana generała proszę o strzelbę.— Pan generał na to: — Odczytamy w domu opis; a gdy strony mnie poruczyły onego dopełnienie, do niego stosować się muszę.

Wrócili wszyscy do domu, pan Leon nie posia- dając się złości, a pan Bonifacy za boki trzymając się od śmiechu. Przybywszy do domu, pan generał włożył okulary, przeczytał tranzankcya i powie- dzał:— Nie ma wyrażonego rodzaju zwierza, co miał być ubity, a zatem wedle opisu w istocie pan Boni- facy wygrał zakład.—Ja na to nigdy nie przystanę— odezwał się pan Leon; — odwołuję się do sumienia wszystkich myśliwych, czy pies może uchodzić za

zwierzę? — A jużci nie ryba — rzekł pan Bonifacy— pożegnaj się z końmi, panie Leonie, a nadal w opi- sach twoich lepiej się pilnuj. — Ty moich koni nie dotkniesz, a strzelba moją będzie, chyba Pana Boga nie ma na świecie; jeżeli pan generał z mojej wła- sności mnie wyzuje, mamy juryzdykcyę; do nich się udam po sprawiedliwość. Prędzej cały majątek stracę, niż pozwolę, aby mnie błazeństwem gnębiono.— Nie strasz mnie ziemstwem ni grodem, bo my obadwa Albeńczyki; musimy między sobą wszelkie zatargi kończyć. Ja na żadne twoje pozwy nie stanę, błażnić się nie chcę; który z naszych niech nas sędzi, ja na każdego przystaję; najwłaściwiejby gospodarz po- stanowił. — Z przeproszeniem JW. generała, jak się na niego zapiszę, to zasłużę, by mi szarą gęś przy- pięto; pan generał przed wprowadzeniem sprawy już waćpanu słusność przyznał; piękniebym wskórał w jego sądzie.— A pan generał:— ja się nie ubiegam bym wasze spory rozstrzygał; zapiszcie się na kogo chcecie, a ja zatrzymuję konie i strzelbę u siebie, i temu oddam, komu je dekret kompromisarski przy- sędzi.—Przystaję na to, — odpowiedział pan Bonifa- cy—i piszę się na kogo zechce pan Leon, byle na Al- beńczyka. Uważajcie panowie moją powolność: wy- grawszy sprawę, poddaję ją pod sąd: bo wedle opisu

rzecz skończona, i mam niezaprzeczone prawo do koni jak i do strzelby. — To waćpan tak sobie tłómaczysz interes; ale obaczmy co inni powiedzą. Jeżeli ci, co psy biją, mają się nazywać myśliwymi, to moje konie przepadną. — Ja o waćpana przycinki nie stoję. Całe życie przywykłeś z drugich żartować, to waćpanu teraz nieźnośnie, że z samego zażartowano. Ale tu idzie o rozstrzygnięcie rzeczy, kto ma nas sądzić? — Ja na samego księcia wojewodę się zdaję. — Zgoda, niech naczelnik nas sądzi. JW. generał miał dziś do Nieświeża jechać, jedźmy z nim i tam kończmy; JW. generał nie zapomni zawieźć z sobą naszego opisu. A patrz, panie Leonie, jak sprawa ze mną łatwa: że już ty spieszony, ofiaruję ci miejsce na mojej bryczce. — Nie doczekasz nigdy, abym z twojej łaski miał korzystać; wolę iść piechotą, niż siedzieć na waćpana powozie. Ja choć lubię żartować, ale bez cudzej krzywdy, a waćpan po moją własność sięgasz. Wstydzilibyś się z taką sprawą przed księciem występować; śmiechu tylko z siebie narobisz. Trzymaj już nareszcie strzelbę, ale dla Boga, odczep się od moich koni. — O prawda! jaki waćpan mądry! Tylko że nie wmówisz we mnie, bym odstąpił od mojego; sam się wstydzić będziesz w Nieświeżu za swój upór, że będąc komornikiem dałeś się złąpać w opisie przez takiego, co nigdy nie był w pałastrze. A kiedy nie przyjmujesz mojej grzeczności,

mniejsza i mnie z tem, że wolisz iść piechotą, niż obok mnie siedzieć.

Pan Leon nic nie odpowiedział; a widząc, że wszyscy w tym interesie sprzyjali panu Bonifacemu, tak się rozzłościł, że od nikogo miejsca przyjąć nie chciał w powozie, choć mu je każdy uprzejmie ofiarował, ale u arendarza furę najał i sam jeden puścił się do Nieświeża. Zjechawszy się w Nieświeżu, opowiedziały strony interes księciu, prosząc, by chciał zostać superarbitrem. Na to książę: — Dobrze, podejmuję się tego, jedźcież więc do Nowogródka, i wracajcie z przyznaną inskrypcją. Zaczęto ją pisać: pan Leon chciał koniecznie, by w niej domieszczono, że książę wojewoda Wileński będzie sądził rzecz wypływającą z komplancji w Samuelowie zawartej, tłómacząc wyrazy wedle ich znaczenia powszechnie przyjętego, ale pan Bonifacy temu się oparł, sprawiedliwie wnosząc, że takie informacye w inskrypcji byłyby pewną nauką ubocznie księciu daną, przeciwną delikatności winnej tak wielkiemu mężowi, i kiedy książę podejmuje się sądzić sprawę, to nie może być, jak tylko sędzią bezwarunkowym, i strony wszelką ufność powinny w nim położyć. Dał się przekonać pan Leon, bo w tem jednomyślnie wszyscy obecni przyznali słusność panu Bonifacemu; pojechali więc z inskrypcją do Nowogródka, ale każdy osobno, bo pan Le-

on tak był rozjątrzony na pana Bonifacego, że mówić z nim nie chciał, a cóż dopiero obok niego w pojeździe siedzieć. Pojechali więc, przyznali inskrypcją przed grodem, i nazajutrz wrócili do Nieświeża ze wszelką gotowością. Książę zapisał akt sądu kompromisarzskiego, i kazał sprawę wprowadzić, a że był biegłym w sądownictwie, pomiarkował, iż strony będąc na sobie bardzo zawzięte, nie mogłyby tłómaczyć swojej rzeczy bez wzajemnych leżyj, po których, jako ludzie odważni i zuchwali, skończyliby na gorszem; gdy przytem obadwaj byli mu miłymi, i gdy zawsze między swoimi Albeńczykami ile możności jedność chciał utrzymać, nie pozwolił żadnemu z nich ani słowa wyrzec przed ogłoszeniem dekretu, i nazначzył kary po dwieście złotych na rzecz Bonifratrów nowogrodzkich za każde odezwanie się tak jednej, jako i drugiej strony. Z tego powodu obligował mnie pan Leon abym od niego stawał. P. Bonifacego obrońcą był Jerzy Płaskowicki, okolniczy Smoleński, jeden z Albeńczyków szczególnie szacowanych od księcia. On to w czasie bezkrólewia, zastępując miejsce rejenta aktowego w Nowogrodzku, przyjął przeszło sześćdziesiąt manifestów od obywateli, żalących się na konfederacyą generalną, lubo ta konfederacya pod karą *abjudicationis ab omni activitate*, zabraniała kancelaryom przyjmować wszelkich manifestów przeciw jej czynnościom. Za to został uwięziony i prowadzony

Bóg wie dokąd; ale szczęściem, nie dochodząc do Swierżnia, pan Aleksander Odyniec napadł na komendę, rozsypał ją i uwolnił pana Płaskowickiego, który kilka lat po Prusiech musiał się tulać. Dopiero konfederacya Radomska zdjęła dekret *abjudicationis* i banicyi, na niego przez kaptur nowogrodzki ferrowany; a dla większego dowodu, iż mu się *activitas* wróciła, król Stanisław dał mu przywilej na okolnictwo Smoleńskie.

Każda strona, na żądanie samego księcia, dodała mu po jednym arbitrze, *cum voce consultativa* od pana Leona zasiadł pan Michał Rejtan, pisarz ziemski Nowogrodzki, a pan Bonifacy uprosił pana Michała Radziszewskiego chorążego Starodubowskiego. Wprowadzenie sprawy, indukta, repliki, wysłuchanie świadków, trwały dni dwa; po których upłynieniu książę ogłosił dekret, przysadzający cztery konie panu Bonifacemu Sołohubowi; a stosując się do konstytucyi 1784 r., za sprzeciwienie się pana Leona Borowskiego dobrowolnemu opisowi, nakazał mu zapłacić grzywien około dwóchset złotych na rzecz pana Bonifacego, z których potracił ośmdziesiąt złotych na bonifikatę szkody jego poniesionej w psie gończym zastrzelonym przez pana Sołohuba.

Pan Leon, gdy czytano dekret, pobladł, wargi mu się trzęsły, i nie podziękowałszy księciu, w nie-

pohamowanym gniewie natychmiast wyjechał z Nieświeża. Przybywszy do Niehoreły, dóbr, które z łaski księcia za bezcen trzymał, napisał list do księcia pełen wymówek wyrzucając mu niesprawiedliwość, i odsyłając mundur albeński z oświadczeniem, że już do tego towarzystwa należeć przestaje, nie chcąc mieć dłużej nad sobą naczelnika tak parcyalnego w sądzie. Dodał przytem, że nieprawemu wyrokowi nigdy nie ulegnie: że jako wolny szlachcic będzie szukał sprawiedliwości po sądach szlacheckich, nie znajdując jej w kaprysach pańskich, i inne dotkliwie rzeczy. Książę, gdy odebrał list, głośno kazał go odczytać. Myśmy potrchleli na taką zapamiętałość pana Leona względem swojego dobroczyńcy. Ale książę, zamiast coby się miał obruszyć, zaczął się śmiać do rozpuku mówiąc: — Panie kochanku, coś pan Leon bardzo się rozchimerował: jednak jakoś się da przeprosić.

Tu nie koniec. Pan Leon wyraźnie jakby do niego coś przystąpiło, zaczął księcia ciągać po sądach, usiłując wszędzie zwalić kompromisarski dekret, a wszędzie przegrawszy, podał na księcia prośbę do rady nieustającej. Dopiero książę się obraził: bo tej jurysdykcji nienawidził, i opierał się comiał siły jej ustanowieniu: był albowiem przekonany, że ona jest niezgodną z niezawisłością władz sądowniczych i z powagą sej-

mów. Istotnie jakaż może być udzielność sejmowa w tworzeniu praw, skoro jest magistratura tłómacząca też same prawa? Pan Leon nic zgola nie wskórał: bo rada nieustająca odmówiła mu uchylenia dekretu, tem więcej, że wówczas jej marszałkiem był JW. Jelski, podkomorzy Smoleński, mąż światły, i znający, że w narodzie żadna władza nie jest w prawie naruszyć świętości kompromisu; a książę, do najwyższego stopnia obrażony, zaawizował pana Leona o wykupno Niehoreły, i złożywszy sumę przed aktami odebrał na siebie majątek, więcej rocznego dochodu przynoszący, niżeli wynosiła cała kwota zastawą na nim oparta. Nadto jeszcze się odgrażał, że na tem nie poprzestanie, i kilkakrotnie prawie codzień przed nami powtarzał: — Panie kochanku, nie mam ani przyjaciół, ani sług wiernych; pan Leon mnie ukrzywdził, a nikt się za mną nie ujmuje. Biada temu, kto przyjaciół przeżyje; gdyby żył Zawisza, lub Wazgird, lub Bohuszewicz, dawnoby pan Borowski poznał co to jest Radziwiłła krzywdzić; a cóż dopiero, gdyby Ignacy Wołodkiewicz zmartwychpowstał! Wszyscy Albeńczycy moje folwarki za bezcen trzymają, słudzy się panoszą, i to całe ich przywiązanie! — Te słowa wewnętrzności nam przeszywały jakby nożem, bośmy i pana Leona szczerze kochali, pomimo jego dziwactw. On, będąc w największych względach u księcia, nie tylko, że żadnemu z nas nie był na przeszkodzie, ale owszem

każdemu pomagał, za każdym mówił i prosił, tylko za sobą nigdy. Z drugiej strony, nasze obowiązki dla księcia były święte: my chleb jego jedli, i smaczny; i gdyby pan Leon nie przeprosił księcia, radzi nieradzi, musieliśmy się z nim rozprawiać; bo sławy swego pana od napaści bronić trzeba. Przyjaciele tedy i słudzy księcia, zrobiliśmy między sobą jakby sejm jaki, aby jakoś tak rzeczy pogodzić, żeby nie mieć sobie nic do wyrzucenia, ani względem przywiązania i wdzięczności dla naszego księcia, ani względem przyjaźni, którąśmy dochowywali panu Leonowi. A że pan Jerzy Płaskowicki był między nami mężem wielkiego zdania, jedynym do rady, szanowanym przez wszystkich i mającym wielką wziętość u samego pana Leona, uprosiliśmy go, by się do niego udał, i wmówił mu, aby się upokorzył przed księciem, jak sama słuszość tego wymagała po nim, a nie czekał, aż my, pomimo że go kochamy, zmuszeni zostaniem, chociaż z boleścią serca, zadość uczynić naszej powinności, jak tego bywały przykłady: bo książę, lubo z uniesienia wyrzucał nam, żeśmy na jego sławę byli obojętni, w duchu dobrze wiedział, że nie tak rzeczy się miały, i niedawno był odebrał dowód, ile jego przyjaciele i słudzy byli do niego przywiązani. Kiedy książę Michał Radziwiłł, wówczas kasztelan Wileński, mając sprawę z księciem wojewodą, sprowadził był na niego aż z Poznania sławne-

go mecenasa pana Ratyńskiego, co go dobrze w Wilnie pamiętają, bo chodził po niemiecku z ogromną upudrowaną fryzurą i z kolczykiem przy lewym uchu, to gdy on mecenas przeciw naszemu księciu w indukcie wystąpił z leżami w przytomności kilku Albeńczyków, ci to na pozór obojętnie przyjęli, ale dwóch dni nie upłynęło, kiedy książę kasztelan z panem Ratyńskim wyjechali na łąkę do Pohulanki, gdzie już trybunalska jurydykcyja nie dochodziła. Pan Paweł Uzłowski i pan Bazyli Czeczot, obaj Albeńczyki i Nowogrodzianie, z kilku sługami księcia wojewody tam wpadli, i w obliczu księcia kasztelana, jego umocowanemu po niemieckich pludrach porządną dali pamiątkę. Książę kasztelan tak się przeląkł, by i jemu samemu się nie dostało, że w Wilnie parę niedziel obłożnie chorował; a pan Ratyński, wylizawszy się, po cichu, że go świat nie widział, wrócił do Wielkopolski ze swoim nadspodziewanem honoraryum. Książę wojewoda umiał ocenić dowód poświęcenia, ale był nieco markotny, iż z jego powodu chybiło się gościnności na Litwie względem brata Wielkopolani-
na, i to wymawiał; a pan Bazyli Czeczot jeszcze nas wszystkich i samego księcia rozśmieszył, tłumacząc się, że wedle praw naszych *in loco delicti* każdy powinien być karany. Kiedy więc nie oglądano się na JN. księcia kasztelana, wysokiego senatora i imienika naszego księcia, czegożby się nadal mógł spo-

dziewać pan Leon? Jednak widać było po księciu, że w duchu taki tęsknił za panem Leonem; bo choć się na niego odgraża bywało póki trzeźwy, jak się podoboci, przez zapomnienie często go wspomina w dobry sposób, a wypawszy się, znowu się odgraża.

Pan Jerzy znalazł pana Leona w Słonimie, gdzie on był komornikiem, i zastał go ledwo nie w czarnej melancholii.—Patrz, panie okoliczny, powiedział mu przywitawszy go, gdzie mnie czart zapędził. Dwudziestoletnie zasługi dyabli wzięli, piękny majątek utraciłem, i jeszcze wcześniej czy później po skórze oberwę; nic nie brakuje, tylko tego. Czemże pana przyjmę? Mam półgarnca wódki starej, tym traktować będę, bo z kądem wziąć co więcej? już moje pasy lite zastawione, po żydach się walają, a sakiewka pusta. Dało mi się we znaki polowanie samuelowskie! ale sam znam, że się nie popisałem. Wstyd mi, w Warszawie chodząc jak chłystek koło rady nieustającej za moim głupim interesem, którego nie mogłem nie przegrać, chociażbym i królewskim był synem, takem się wyszastał ze wszystkich moich funduszów, że chyba piechotą byłbym na Litwę powrócił, gdyby poczciwy Sołohub nie był mnie ztamtąd wywiózł. Sołohub płakał przedemną, krusząc się, iż z niego wyszło moje nieszczęście. Co on winien? Ja jak ostatni błazen postąpiłem. Jakem wpadł w nie-

łaszkę u księcia; to odemnie stronią, jak gdybym w dziegciu był skąpany. Bóg ci odpłaci, żeś o mnie nie zapomnieli.—I nalawszy kielich wódki wypił do pana Jerzego. Wypił i pan Jerzy.

— Co myślisz z sobą robić, panie komorniku?— Albo ja wiem co będzie dalej? Teraz przyjacielskie oblicze mi zabłysło, tego dawno nie było, więc zmartwieniom zrobi się przerwa, jest przynajmniej z kim wypić. Na frasunek dobry trunek: do waćpana, panie okoliczny.—A cóż to, panie Leonie, czyż z desperacji gorzałką już się rozpiłeś? — Kto, ja? jakem sodalis, wodę jak kaczkę piję. Albo mam za co i z kim pić? Wiesz, z kądem u mnie ta wódka? oto wczoraj tydzień się skończył, jak ona nienaruszona stoi w tej flaszy. Przybył do mnie szlachcic z Zaścianka Raców: wszak musisz znać okolicę Raców pod Nowogródkiem? — A dla Boga! — Nieborakowi parę koni ukradziono; opytem trafił za niemi do Słonima, gdzie je znalazł u Fabiasza sukiennika: nie mając tu prócz mnie znajomego, bom nieraz na słomki w jego okolicy chodził, do mnie się udał, i garniec wódki starej mi przyniósł, prosząc o pomoc. To z nim razem część jego wódki wypilem, a potem biedakowi wykierowałem interes. Fabiasza nastraszyłem grodem, ale tak, że żydzisko nie tylko iż konie oddał, ale jeszcze dwadzieścia złotych nawiazki mu odliczył za ekspens

podróży. Cóż to, panie Jerzy, nie pozwalasz bym do ciebie wypić? — Ach, kochany panie Leonie, jabym truciznę gotów z tobą pić; ale wołałbym wina kieliszek. — To już wyraźnie natrząsaś się ze mnie. Gadać o winie takiemu, co pięciu złotych nie ma przy duszy! minęły te czasy, kiedy pan Leon z niehorelskiej piwnicy łaskawych przyjaciół częstował: teraz czem bohat, tem rad. — Ja ci pożyczę pieniędzy. — Dziękuję, łaskawy przyjacielu; a gdzie *pignus responsionis*? Wszak wiesz, że sumka którą miałem na Niehorele jest nieboszczki mojej żony; leży ona teraz w aktach nowogrodzkich bez pożytku dla mnie; a czterdzieści tysięcy moich własnych, co mi zostały z krwawej pracy, siadły makiem u pana Łopata: od trzech lat ani kapitału, ani procentu nie widzę. Ja je mam za przepadłe. — Co za nowa desperacya! — Albo to ja pozywać się będę kiedykolwiek. Dał mi się już proceder we znaki. Gdyby kto mi teraz i chłopstwo zadał, tobym się nie bronił. Dziękuję ci, panie Jerzy, ale twojej ofiary nie przyjmę. — Panie Leonie, porzuciłbyś bluźnić! Wszak wiesz, że nie uchodzę za takiego, co swoją pracę w błoto rzuca. Kiedy ci chcę pieniądze powierzyć, to widno muszę upatrywać jakąś pewność dla siebie. Oto masz w tym ładunku sto czerwonych złotych; wykup coś pozostawiał, potraktuj mnie dobrem winem, jeśliś mi rad, a pieniądze wrócisz mi w Nieświeżu. — Wszelki duch Pana Boga chwali! Ja

w Nieświeżu! Wątpię, panie okolniczny, żebyś za dobrą ewikcyą swoich stu czer. zł. przyjął monetę, która dla mnie przygotowana w Nieświeżu, a która (dodał z głębokiem westchnieniem) i tu nakoniec mnie znajdzie. — Co mamy na sucho rozprawiać? Bierz pieniądze, poślij po wino, napisz mi dokumencik, a przy kielichu i uradzim i uraduję się. — Toć to i Bóg i ludzie wiedzą, że masz więcej rozumu niż ja: zrobię co każesz.

Odliczył pieniądze pan Leon i swego chłopca posłał do winiarki, dając mu czerwony złoty i mówiąc: — Ruszaj do Małgosi, połóż jej w ręce co ci daje, żeby mi przysłała przez ciebie garniec tego wina, co po oficjale Świętochowskim dostała. — Sama nadzieja, że będzie traktował gościa miłego dobrem winem, rozweseliła pana Leona. On, co był najgościnniejszym z ludzi, odzyskał teraz ten humor, jaki zwykle miał będąc wyrocznią nieświeżką.

Przynieśli wino: zasiedli obaj przyjaciele; pan Leon dokument napisał, odczytał go z uwagą pan okolniczy, i porządnie złożywszy schował w zanadrze. Kielichem zaczęli się bawić. Opowiadał różne dykteryjki pan Leon, tak dowcipne, że nie tylko garniec, ale i dziesięć możeby się niepostrzeżenie wypróżniło, tak miło czas schodził. Ale gdy przyszło do interesu, to jest, jaką furtką trafić do księcia, zaczęły się sma-

żyć umysły. Rozmaite środki podawał pan Jerzy, a pan Leon zawsze odpowiadał: — Ja na to się nie odważę, znam księcia pierwszy impet; jak mu się pokażę, krwawo mnie shańbi, i nie jeleń, ale pan Leon *personaliter* weźmie w skórę, i między nami, wart tego. Nieraz sam sobie chcę dać po skórze, a onby mnie miał folgować! Nadto mu się naraziłem. On pocziwe ma serce, ale mój postępek był tak nieroztropny, tak niewdzięczny, tak zapamiętały, że i świętej pamięci księciu Sierotce byłbym się narprzykrzył. Nie ma rady, on wszelkie do mnie przywiązanie utracił. — Otóż wiesz co, panie Leonie, on ciebie kocha. Kiedy trzeźwy, to na twoim łbie szyny żelazne łamie; ale jak tylko się podchmieli, ciebie szuka, i przymrużywszy oczy mruczy, nalewając kielich: „Do ciebie, panie Leonie“. — Co powiadasz? — Bóg świadek, że kilka razy to było przy mnie. Cały dwór za tobą tęskni: raz, że ktoby cię nie kochał, wilczeby miał serce; powtóre, że nie ma komu za tym lub owym do księcia w interesie się wstawić. Książdz Kantembryng, co tylko się sumienia książęcego nie tyczy, do tego się nie miesza i za rodzonym ojcem słówka nie powie; pan Mikołaj Morawski, rad że mu się udaje nieraz księcia z błotem mieszać, jak ten go zniecierpliw, na tem poprzestaje, i ni za sobą, ni za nikim, jak wiesz, nigdy się nie odezwał. Ile razy książę kogo obdarzył, to on mówi: Zapłać twoje długi, a do-

piero bądź wspaniałym. Pan Michał Rejtan, który u niego coby chciał wyprosił, a pięciu dyabłów się nie złąknie, przed nim ust nie śmie otworzyć; a oprócz tych trzech, nikomuby i nie bardzo uszło być z księciem zbyt śmiałym. Po tobie tęsknim wszyscy, i jeżeli ci prawdę mam powiedzieć, bo ty wiesz, że *in viuo veritas*, cała Alba mnie do ciebie, panie Leonie, wysłała w delegacyi, abym ciebie jakoś przywabił do przeproszenia księcia; bo wszyscy radzi mieć po dawnemu twoje plecy za sobą w Nieświeżu, a nie być zmuszonymi gdzieś tobie drogę poniewolnie zastąpić. — Tam do dyabła! Kiedy tak się rzeczy mają, pojedę do Nieświeża. — Kiedy? — J.W. Plater kasztelaniec Trocki w przyszłym tygodniu żeni się z panną Rzewuską chorążanką Litewską, siostrzenicą księcia; więc jadę do Nieświeża na wesele. — Takoż ci przystąpiło coś nowego do głowy, taki dzień wybierać! Nieproszonemu na wesele się pokazać?... — Albo ja sam nie potrafię się zaprosić? — Czy ty oszalał! wszystko u ciebie bez miary: toś dopiero do zbytku był tchórzliwego serca, a teraz wpadasz w zarozumiałość. Posłuchaj mojej rady. Po weselu, jak się porozjeżdżają, a książę zacznie tęsknić za siostrzanką, przyjdiesz do niego z księdzem Kantembryngiem i powiesz. — Ta ra ra ra! A co to ja na szubienicę dekretowany, żeby w assystencyi księdza chodził? Ja wolny szlachcic przecię: nie dam sobie w kaszę napluć.

Audaces fortuna juvat, timidosque repetit.—Dość o tem, panie okolniczy dobrodzieju: co Pan Bóg natchnie, to się zrobi; a teraz cały frasunek, że u garnca dno się pokazuje. Pozwolisz po drugi posłać? — Nie, nie, jakem sodalis, ani kropli. Będzie zemnie. Moje konie popasły, słońce nisko, a przed zachodem muszę być u JW. Słiznia, podkomorzego Słonimskiego, w interesie mojego szwagra, i tam przenocowawszy, ze świtem wracać, dla opowiedzenia się z mojego poselstwa do ciebie przed sejmikiem relacyjnym dwornie świeżskiego. Bywajże mi zdrów, kochany panie Leonie, niech Pan Bóg tobie instynktuje i nie dopuszcza na ciebie nowych szaleństw! Tylko ceremonii ze mną nie rób; trafię do moich koni.—A już ci na progu żegnać ciebie nie będę. Niech cię Bóg prowadzi i odplaci dobroć twojego serca. Wszystkim kłaniaj odemnie, a najwięcej pani okolniczynej, mojej dobrodziejce. Kiedy mi wszyscy dobrze życzą, tem samem widać, że Bóg ze mną. Oj bieda, że u mnie nocować nie chcesz.—Jakem sodalis, gdyby nie mojego szwagra interes, kijembyś mnie od siebie nie odpędził. Upadam do nóg twoich, panie Leonie. — Z boleścią serca rozstaje się z tobą, panie Jerzy. Nie zapomnij westchnąć za mną czasem do Pana Boga i Najświętszej Panny, aby mi się udało: wszak my obydwaj sodalisy.

Tak pożegnawszy się czule, pan okolniczy siadł

na swoją bryczkę, a pan Leon w dobrej nadziei i w wesołym humorze, z dziedzińca wrócił do swojej izby. Opowiadał nam pan Jerzy za powrotem do Nieświeża to wszystko, com opisał. My się nigdy nie spodziewali, żeby pan Leon odważył się bez przygotowania wpaść do Nieświeża, jeszcze w czasie, kiedy książę siostrzenicę wydawał, i kiedy listy zapraszające po całej Litwie biegały. Jakże tu było nieproszonemu przyjechać do zairytowanego na siebie gospodarza! Ale kto mógł pana Leona przeniknąć!

W dniu w którym się miało odbyć wesele, pamiątam jak dziś, o dziewiątej z rana, po Mszy św. książę siedział w sieni, dokąd mu przyniesli w koźbialce szczenięta świeżo narodzone z Nepty, wylicy faworytnej. Książę był w złym humorze, bo nic nie mówił, tylko mocno sapał, głaszcząc sukę i jej potomstwo, a nakoniec odezwał się: — Panie kochanku, kazałem aby mi z Łachwy kilka łosi i dzików przywieźli na wesele chorążanki, a dotąd ich nie widać. Przyjdzie się wstydzić przed kasztelanicem Trockim, że u Radziwiłła kapcański obiad. Nikt mnie nie słucha, drwią ze mnie odkąd mnie pan Borowski ukrzywdził bezkarnie; za Boże stworzenie mnie nie mają. Trzeba uciekać z Litwy; bo doczekam tego, że we własnej mojej chacie W. komornik Słonimski da mnie w skórę, a moi przyjaciele jeszcze mu pomogą.

Jak tylko oddam chorażankę, zaraz wyjadę do Ołyki; między koroniaszami szukać będę przyjaciół, a Litwy i znać nie chcę.—I coraz mocniej zaczął sapać; a my, cośmy go otaczali, nie wiedzieli co z sobą robić, tak nas temi wymówkami piłował. Wtem w sieni drzwi się odmykają i wchodzi... Kto? pan Leon Borowski! z miną gęstą w kontuszu nowogrodzkim ponsowym, z pasem tak litym, że aż się oczy ćmiły, i niziuteńko skłonił się przed księciem. Książę tak się zmieszał, że aż języka zapomniał w gębie. Wstał, znowu usiadł w krzesło i odezwał się w roztargnieniu:—Co słyhać, panie Leonie? — Teraz słyhać, że dwóch wielkich głupców na Litwie.—Kto taki?—Jeden książę Karol Radziwiłł wojewoda Wileński, drugi Leon Borowski komornik Słonimski.—Jak to!—przerwał książę mocno zasapawszy.—A tak, książę panie. Radziwiłł, że się porwał na imperatorową, a Borowski, że się porwał na Radziwiłła.

Cóż powiecie? książę zamiast coby się miał gniewać, zaczął się śmiać do rozpuku, a potem rzekł:—Panie Leonie, waćpana całe życie blażeństwa trzymać się będą. A kto waści zaprosił do Nieświeża na wesele?—Sam się zaprosiłem, książę panie; zateśknilem się w Słonimie. Wykroczyłem, o tem Bóg i ludzie wiedzą więcej jeszcze, niż sam książę; bij mnie, bom wart tego; ale ostrzegam, że W. Ks. Mość i hakami od Nieświeża mnie nie odpędzisz, i kłękł przed

księciem. Książę się rozczerpnął, kilkakrotnie go ucałował, mówiąc:—Panie Leonie, bądź dobrej myśli, a o tem co minęło, nie gadajmy.

Pan Leon padł do nóg i rozbeczał się: książę go podniósł i zaprowadził do stancyi, dokąd my wszyscy za nim poszli. Książę ciągle odtąd był wesoły; bo pan Leon miał dar szczególny jego rozweselać, jako i nas wszystkich. Wrócono mu Niehorełę i mundur albeński przy dawnych względach, i odtąd już nigdy pan Leon księciu się nie naraził. Takiego to pana, któremu równego nie było i nie będzie, śmiały francuzcy pisarze nazywać barbarzyńcem!

XVI.

Palestra staropolska.

Odkąd ludzie żyją, nigdy nie było takich przemian w tak krótkim czasie, jak jest życie moje. Wszystko się albowiem odmieniło: stan, obyczaje, wiara, ludzie, tak, że gdyby człowiek dzisiejszego wieku mógł mieć przed oczyma obraz dawnych czasów, nie poznałby swojej ojczyzny, a jeszcze mniejby ją poznał wskrzeszony starzec, co przeżywszy panowanie dwóch Sasów, w pierwszej połowie królowania Stanisława Augusta rozstał się z tym światem. Czy więcej było rozumu dawniej, czy teraz? to zadanie jabym tak rozwiązał: teraz więcej ludzi rozumnych

i nierównie więcej, ale dawniej sława rozumnego człowieka była więcej zasłużona. Jakoś to dawniej nie było tych ludzi rozumnych ogólnie: każdy rozum swojej rzeczy pilnował. Ten był teologiem, ów geometrą, tamten prawnikiem, inny wierszopisem; i takich było niewiele, a lada kto nie przywłaszczał sobie prawa do rozumu. Szlachcic otwarcie wyznawał: „ja sobie prosty człowiek, tegom się nie uczył, i w tem objaśnienia dać nie umiem; ale jest taki, który tę rzecz dobrze zna“, i jego wymieniał. Teraz pełno ludzi, o których powszechnie mówią, że są rozumni, ale zapytaj w czym, tego nie dopytasz: powiadają, jestto człowiek rozumny i kwita. Ten rozum zdaje się być jakimś drażkowym, nakształt owych województw odpadłych, których krzesła się zachowały, a urzędnicy (nie przymawiając sobie) jurydykcyi nie mieli. Wieluż to doktoryzowanych chemików z Wilna wychodzi? a weź którego z nich do urzędu browaru, obaczysz co wskórasz. Sparzyłem się na podobnym mędrku, aż mi wstyd. A prawnicy teraz! Panie Boże odpuść profesorom, co ich uczą. Użyj którego z nich do sprawy; będzie orzeczech przedpotopowych rozmawiał, a kiedy co napisze, to chyba drugiego jurystę sprowadzisz, żeby ci to wytłómaczył. A jakie tony, jakie rozumienie o sobie, jakie lekceważenie dawnych prawników! Każdy z nich siebie ma za ministra. To też się ich i nie do-

płacisz. Dawniej połowę palestrybys zaspokoił tem, czego się teraz jeden domaga. Dawniej jurysta, kiedy nad interesami zęby zjadł i dobrze ośiwiał, a miał wieś w dożywociu i kilkadziesiąt tysięcy po ludziach, o! to uważał siebie za szczęśliwego, i codzień Panu Bogu dziękował; dzisiaj popatronuje parę lat w ziemstwie lub trybunale, podejmie się interesów jakiego niedoświadczonego panieca, i nim drugich parę lat upłynie, już krocie rachuje. Zysk ma w kieszeni, bez szkody w sumieniu, bo sumienia dawno nie miał; a Bóg widzi, że praw naszych nie rozumie, tylko bezczelnością nas zaciera, a my starzy, widząc że nas za nie mają, ręce opuszczamy. Po części mają oni słuszność; bo na taki skład rzeczy, jaki teraz nastąpił, ich rozum lepszy od naszego. Szczerze się wyświadam, że ani juryzdykeji, ani procedury, ani szlachty terażniejszej nie rozumiem. Ten sam sąd w jednej sprawie raz powie czarno, drugi raz powie biało, jak mu wypadnie. „Takie moje przekonanie“, oto cała odpowiedź sędziego żalącemu się na rozbój. Krzyczą na niego, krzyczą, że on przewarykator, że bezsumienny, że sikorki chwyta. A gdy nadchodzi sejmik, myślisz, że ani się pokaże przed ludźmi! Bynajmniej! otwarcie idzie na urząd, a ta sama szlachta, co dopiero wrzeszczała, prosi go z zapalem, aby następne *triennium* raczył się podjąć sądownictwa. I jacyż to sędziowie! znam ja takich, co złamanego halerza nie

posiadają; a przecie urzędują. Kto terażniejsze czasy zrozumie!

Przed dwoma laty JW. Zabiello, co mnie zaszczyca swoją łaską, a którego ojca kiedyś na rękę nosilem, na kontraktach nowogrodzkich widząc się ze mną, mówi mi: — Mój cześniku, byłeś przyjacielem ojca mojego: mam sprawę, bądźże łaskaw zasil swoją radą konferencyę, którą w tym przedmiocie zbieram u siebie.—A ja mu na to:—Co ja panu pomogę mojem starem doświadczeniem, i na co się zda konferencya? Teraz żadna sprawa ani tak dobra, by jej nie przegrać, ani tak krzywa, by jej nie wygrać. Niech pan rzuci na stół garść brzęczączek: kiedy *cet*, to wygrasz; kiedy *liszka*, to przegrasz. Oto najlepsza dziś konferencya rozumów terażniejszych prawników. „A! i dawniej bywała po sądach prepotencya magnatów“, do sytości powtarzają ludzie terażniejsi. Ja na to tak odpowiadam: — była czasem forsa, mięszająca bieg sprawiedliwości, ale i w tem złem jakieś sumienie się przeciskało. Słaby sędzia, dogadzając pannu, zwlekał jak mógł, nękał szlachcica przewłokami, niszczył go tem, ale go nie zarzucał, jak dziś: „*Expecta cadaver*“ mówił mu, i chociaż nikt tego nie pochwali, przecie krzywego dekretu nie podpisał. Jeżeli kiedy niekiedy bywało zgorszenie, ludzie się gorszyli; a teraz sędzia sumienny nie więcej ważny

od zaprzędanego i podłego, w obliczu zepsutego powszechnie społeczeństwa. Gdyby przed jakimś wyższym sądem lub trybunałem wytoczyła się na nowo ta sama sprawa, od której to kiedyś Piłat ręce umywał, a Żydzi położyli jeden i drugi ładunek dukatów, i rzadca, nieżyczliwy Chrystusowi Panu, jeszczeby zrobił nadzieję, że dla członków tego sądu wyjedna ćwierć łokcia zielonej wstążki z białymi albo żółtymi brzegami; przekonany jestem, że nasz Zbawiciel powtórnieby został umęczony. Jakoż go nie przestają u nas krzyżować rozpustą, oszukaństwem, obojętnością na jego prawa, sobkowstwem, i tak dalej. A że jednak pomimo tych niegodziwości nie można przeczyć, iżby miłość kraju nie przeważała we wszystkich sercach, skarżą się na Pana Boga i szemrzą, że raju nie wraca. On, coby mógł to uskutecznić jednym skinieniem swojej wszechwładnej woli. Albo my zasługujemy na to, iżby cuda nam robił? Pano-
wie bracia! kto chce gmach wystawić, powinien się najprzód w kamień i wapno i cegły opatrzyć. Jeżeli cegły są kruche, że aż pod ręką się rozsypują, możeż być gmach? Kraj jest gmachem, a my ceglami. Wypalmy siebie w cegielni wiary i wytrwałości, a potem weźmijmy się do budowy, to w samym budowaniu ściany jak dotąd nie będą się waliły. Zapewne to nie smaczno: łatwiej być męczennikiem, niż pokutnikiem, łatwiej walczyć i ginąć, niż całe życie mieć siebie

w straży, chronić się od niegodziwych zysków, kiel-
znać swoje chuci, unikać wszelkich stosunków z Fili-
stynami, i zamiast uciskania włościan, podnosić ich
do godności człowieka. Ale chociaż męczeństwem po
rozbrykanym żywocie można duszę zbawić, kraju mę-
czeństwo samo jedno nie zbawi. Trzebaby być dla
niego pokutnikiem, wyznawcą, pustelnikiem, dziewicą
nawet, a dopiero się on zbawi. Tak droga rzecz lada-
czem się nie okupi; a każdy grzech zapłatę swoją we-
źmie. Niechno kto przepatrzy dzieje domów pańskich,
a przekona się, że jeżeli który z nich upadł, zawsze
się znajduje gotowa przyczyna w postępowaniu jakie-
goś przodka. Jeżeli kto od jakiego (wedle swojego
wyobrażenia) złego chroni się grzechem, pewnie wię-
ksze zło nastąpi, niżeli to, którego chciał uniknąć.
Dom Sapienhów na Litwie nienasycony był w domaga-
niu się starostw, ciągle burzył się, pokąd nowym
udziałem skarbu rzeczypospolitej królowie go nie za-
spokoili, nim na nowo łakomstwo nie wznieciło zabu-
rzenia: za to jego potomkowie, chociaż ze wszech
miar godni, do ubóstwa przyszli. Był jeden woje-
woda, co uważał swój dom być poniżonym, że syn je-
go pojął pannę starożytnego rodu, ale którego blask
z jego domem się nie równał. Kazał ją porwać, by
zmusić do rozwodu, bo taka była myśl jego; jego słu-
dzy, chcąc lepiej jeszcze usłużyć swojemu panu, uto-
pili niebogę. I to się działo w narodzie chrześcian-

skim! Cóż z tego wynikło? Oto pan wojewoda nie mógł znieść, że jego jedynak skojarzył się z ubogą szlachcianką, która jednak senatorów liczyła między przodkami; a później tenże sam syn ożenił się z kobietą, która goryczą i sromotą schyłek jego żywota zatrula. Takto za brodnie dziadów i ojców niewinne syny i wnuki pokutują. Czego szczególne domy, tego i ogólna ojczyzna doświadcza. Kiedy się nią opiekując, Pan Bóg tyle narodów ruskich nam powierzył; jakże się my z nimi obchodzili? Wstyd wspomnieć. To też Pan Bóg i nas samych poddał losowi, w którym opłacamy przodków okrucieństwa. Za dawnych czasów już my się byli opamiętali, i poddaństwo ruskie już bardzo było łagodnie rządzone, potem, jak ogarnęło łakomstwo serca obywatelskie, takiej nieludzkości zaczęto się dopuszczać z włościanami tamtejszymi, o jakiej my nawet wyobrażenia nie mieli. Nie tylko że całkowitą pracę poddanego przywłaszczyli sobie, ale duszę jego gubią, pobudzając go do pijaństwa, by mu ostatni grosz wydłuzić. Cokolwiek czy mieszkowi czy zmysłom idzie na korzyść, samolubny i bezbożny obywatel obu płciom swojego poddaństwa wydziera. To złe coraz się szerzy i chcą, aby Pan Bóg, wszelkie prawa sprawiedliwości krusząc, uciskających bez litości od uciśku uwolnił. Za moich czasów wielkie były cnoty. Jeżeli wykroczenia naddziadów trzeba było odpłacić,

dawno bylibyśmy się oczyścili, i wrócili do szkód nie odżałowanych, ale następne pokolenia nowemi zbrodniami przydłużyły gniew Boży. Toć to historia świadczy, że grzechy podkopują zasady bytu narodów. Rzym, pokąd był cnotliwy, tak jemu los dopisywał, że aż jeden święty napisał, iż Pan Bóg nie mógł tak wielkich cnót nie nagrodzić zwierzchnością nad światem. Największe, najpotężniejsze narody oddały mu się w poddaństwo; Horacyusz, upojony potęgą swojej ojczyzny, pisał:

Horrenda late nomen in ultimas
Extendat oras,

A niżej trochę:

Carminum Liber III. Ode III.

Quicunque mundo terminus obstitit,
Hunc tangat armis, visere gestiens
Qua parte debacchentur ignes,
Qua nebulae, pluviiue rores.

A potem, jak zaczęli Rzymianie zapominać wstrzeźliwości przodków, i wodze puszczać wszelkiemu wszeteczeństwu, najprzód wolność utracili, później sami wpadli w poddaństwo ludów barbarzyńskich, półdzikich, które mieli w pogardzie. Potem, jak przyjęli wiarę chrześcijańską, i cnoty przez nią nakazane w sobie rozwinęli, powtórnie uzyskali przewagę na świecie. Jak niegdyś przez senatorów, tak odtąd przez biskupów i kapłanów swoich panował Rzym nad światem, pokąd łakomstwo, sobkowstwo i obojętność dla ludów nie przynęciły się do niego. Wady ujęły mu panowania, którego jednak przez miłosierdzie Boskie w zupełności utracić nie może.

Patrzyłem ja na upadek obyczajów. Już od dawna magnaci, idąc za dworem, psować się zaczęli, ale szlachta jeszcze się trzymała. Pamiętam, że po wojewódzkich naszych miastach o domach nierządnym nie było słychu, a kiedy jaka zwodnica próbowała frymarzyć dziewczętami, niedługo jej była pociecha. Byle się gród o tem dowiedział, artykuł 31 rozdziału XIV statutu litewskiego zaraz temu dał radę. Jeszcze w szkołach byłem, ale dobrze pamiętam, jak W. Obuchowicz, podwojewodzy nowogrodzki, osądził na oderżnięcie uszu, nosa i wargi jedną starą szlachciankę, która, otworzywszy traktyernię w Nowogrodzku, panienkami wabiła młodzież do siebie. A chociaż w tym czasie król Lew Karol, panu-

jący w Kurlandyi, przejeżdżając przez Nowogroddek, pobudzony litością, instancją wnosił do pana podwojewodzkiego, by karę ułagodził; nie dał się on zmiękczyć, klęcząc i płacząc przepraszał najjaśniejszego królewicza, że sumieniu swojemu szwanku zadać nie może i dekret przed ratuszem spełniony został. Kilka lat temu książę Radziwiłł wojewoda Miński, gdy był w Nowogrodzku na sprawie z J.W. Niesiołowskim, wojewodą Nowogrodzkim, wpadła mu była w oko córka niejakiej Nieklewiczowej wdowy, co ją dotąd pamiętają w Nowogrodzku, jak pod farnym kościołem kielbasy i twarog przedawała. Ale była szlachcianką, a co więcej pocziwają: a jej córka wyglądała, jak pączek róży. Że książę wojewoda Miński nie był skrupulat, użył swojego kamerdynera Niemca, czy Francuza, by mu koło dziewczyny patronował: jakoż on miał być majstrem do tego, w czym go w Warszawie i Wilnie nieraz książę doświadczył. Ale że Nowogroddek nie stolica, poszkałił się fireyk. Stara, nasadziwszy ukrytych świadków, zapozwała kusiciela do grodu, gdzie był sędzią pan Dominik Wierzejski, którego brat rodzony był regentem sądów zadwornych, a on sam był urzędnikiem pełnym sprawiedliwości i gorliwości w dopełnianiu najściślej prawa. To choć książę był wielkim panem, takiego mu napędzili strachu, że dwadzieścia tysięcy dał Nieklewiczowej na posag córki, aby go z pozwu wypuściła. A pomi-

mo prośb i groźb, pan Wierzejski kamerdynera wychłostać kazał, i jeszcze zaprzągl go do taczek na dwanaście tygodni; a spodziewam się, że po takiej rekolekcyi poznał, że co stolica, to nie prowincya. Nasza młodzież, widząc, że i panom nie bardzo ucho-
dzi broić wszeteczeństwa, w wielkiej obyczajności się chowała; bo i Boga się bała obrażać, i urzędy były straszne. Ale powoli zaczęło złe od panów do szlachty przechodzić. Za moich czasów byli w Nowogródku juryści, kawalerowie pod białym wąsem, a skromni jak panny. To my młodzi, nie mówię już z innych powodów, ale z samej obawy oburzenia ich na siebie, musieliśmy się warować od złego; bo rzadko był przykład takiego, coby starca jak ojca nie szanował.

Był pan Andrzej Jelec, urodzony z siostry JW. Żaby wojewody Połockiego, co go wuj, jako opiekun, oddał do palestry nowogrodzkiej, chcąc aby nabywszy w prawie doświadczenia, mógł kiedyś i do wyższych posunąć się dostojęństw. Jakoż wkrótce lubo młody, zjednał sobie, i nie bez słuszności, ogłos jednego z pierwszych prawników, i nawykł do tego chleba, że przestając na jurysteryi, z którą mu się dobrze działo, nie piał się do zaszczytów, chociaż i te go nie ominęły: bo wziętością wuja swojego, który uprosił u księcia wojewody Wileńskiego pana mego, iż mu wyrobił order złotego lwa, został patronem

królewskim i szambelanem J. K. Mości, i jednym był w naszej palestrze, co go jako orderowego tytułowano jasnie wielmożnym. A oprócz tego zaszczytu, że i w rozum własny, i w pokrewieństwo z senatorami, i w dość znaczne dochody, co mu jurysterya przyniosła, był zaufany, wiele siebie pozwalał, i na starszych się nie oglądał. On to i po francusku trochę mówił, i z wielkim światem stolicy był obeznany, i z królem kilka razy rozmawiał, i lubił panów nadsładować. Miał on chętkę i po niemiecku się przebrać, i tyle tylko mu nie dostawało; ale to jakoś u nas nie uchodziło, i rad nierad musiał się trzymać naszej długiej sukni, która trzpiotom nie do smaku. Otóż razu jednego, że figle płatać lubił, zastawszy mnie u pana Fabiana Wojniłowicza, niegdyś mojego mecénasa, sędziwego starca, jeszcze kawalera, a który między skrupulatami za skrupulata uchodził, zaczął pan Andrzej obu nas prosić, byśmy go wyręczyli, powiadając: że przyjechała z Mazowsza majątna obywatelka z dwiema córkami, wcale dorzecznemi, że ma jakąś ważną sprawę rozpocząć w Nowogródku z księciem wojewodą Trockim, i że jego prosiła, aby raczył jej bronić; ale że on w natłoku spraw, jaki się na barkach jego opiera, nie może nowego ciężaru już przyjmować, więc tedy nas na koleżeństwo zaklina, byśmy naszych usług jej nie odmówili, ile że pomagać wdowom i sierotom to wielka zasługa i wiel-

kie odpusty za to. Nakoniec dodał: Kto wie? może, kiedy wy będziecie szperali w dokumentach matki, córki doszperają się do waszych serc; wszakżeście obaj kawalerowie. Ja was do niej zaprowadzę i konferencyę razem zrobimy.

My, jakby przeczuciem ostrzeżeni, długośmy się wyprasali; ale jak zaczął prosić i zaklinać, raz, że był z nami w zażyłości, powtórę, że taki się nie godzi usług wdowom odmawiać, daliśmy się w pole wyprowadzić. Poszliśmy za panem szambelanem: już to było pod noc. Wiedzie nas, wiedzie, aż na przedmieście; tam w zakręcie do jakiegoś dworeczku wprowadza, i przedstawia jakiejś pani w podeszłym wieku, i jej jakoby dwom córkom, urodziwym pannom. Oświadczył, że my patronowie tutejsi, jego przyjaciele, których uprosił, byśmy jej pomagali. Jejmość, uprzejmie nas przywitawszy i podziękowawszy nam za naszego czasu poświęcenie, prosi nas siedzieć. My, rozgościwszy się, czekamy by o interesie mówić zaczęto; a jejmość nagli nas, byśmy siebie pozwolili utraktować ponczem, który już zaczynał być w modzie. Pan Andrzej w naszym imieniu zapewnia, że chętnie pić będziemy z łaski jejmość pani podstoliny, i że po lampeczce lepsze koncepta na konferencyi się udadzą. Pan Fabian, świeć mu Panie na duszy, lubił szklaneczką się bawić; a w dobrem towarzystwie i ja czasem nie byłem od tego. Owóż tedy

stała waza ponczu, a jak się potem odkryło, zamiast wody był to czysty arak kipiący, ale tak osłodzony, żeśmy się nie spostrzegli. Jedna szklanka spełniona wszelką nam przytomność odjęła; a pan Jelec, co całą tę zdradę wymyślił, umknął, zostawiwszy nas na wolą Bożą. Już świtać zaczęło, gdyśmy się obudzili, i dopierośmy poznali, że ani mniej, ani więcej, tylko żeśmy w podejrzanym domu noc przepędzili. W ponurem i gorzkim milczeniu wyszliśmy z tej Sodomy, złorzecząc panu Jelcowi za jego nieuczciwy żart. Odprowadziłem pana regenta do jego dworku. Tam usiadłszy jeden naprzeciw drugiego, zaczęliśmy rzewnie płakać. Serceby się rozkroiło samemu panu Jelcowi, gdyby na to patrzył, zwłaszcza na frasunek sędziwego pana regenta. Ten pierwszy przerwał milczenie, mówiąc: — Panie Sewerynie, a gdzie to nas ten łotr zaprowadził? Siedmdziesiąt i kilka lat żyję, a nigdy przed dniem wczorajszym moja noga nie powstała tylko w takich miejscach, z których publicznie szczyścić się mogłem; a dziś moja starość już jest shańbiona. Czemżeśmy na to zasłużyli? — Ja mu odpowiedziałem: — Jużci gdzie niema woli, tam niema grzechu. Niech się pan Andrzej kruszy, co z nami tak podłego żartu śmiał się dopuścić, a nie my, na których niewinność Pan Bóg patrzy. — Nie, panie Sewerynie, my winni; wszak to nas w szkołach uczo-

no: *cum bonis bonus eris, cum malis perverteris*. A po co my z tym farmazonem, co się Pana Boga nie boi, przestawali, i nawet zaprzyjaźnili się? Ukarzmy siebie, aby nas Pan Bóg nie karał. — Dopiero kazał mi się położyć, i dał mi pięćdziesiąt batogów; a potem sam się położył, oddawszy mnie batog, i musiałem jemu taką samą liczbą wywzajemnić się, ile że mnie na rany Chrystusowe zakłął, abym go szczerze bił, jakom doświadczył, że i on mojej skórynie oszczędzał. Potem choć zbolały, że ledwo mógł się ruszać, kazał się wózkem zawieźć do pana sędziego Wierzejskiego, by mu donieść, że na przedmieściu ladaszczyce osiadły. Szukano ich tam; ale złap wiatra w polu! Tak się to śmiecie prędko po tym kawalku wyniosło, że śladu nie można było dopytać. Dopiero pan regent na Jelca! Ledwo ludzie odwiedli, że go nie pozwał do grodu; ale jednak cała palestra tak czuła krzywdę swojego rejenta, że pan Jelec musiał się wynieść z Nowogródka, i w Wilnie szukać nowego szczęścia, ze starem rozbratawszy się przez pustotę. Jakoż go ono tam nie ominęło; bo z taką wymową i praw znajomością, wszędzie w Polsce nie byłoby mu trudno o korzystną pracę. Później, nie po długim czasie, ożenił się i zupełnie się ustatkował, że potem widywałem go z wielką przyjemnością. Ale pan rejent do śmierci mu nie odpuszcił. Razu jednego przypadkiem w Wilnie, na obiedzie proszonym u pana Jana

Wierzejskiego, rejenta sądów zadwornych, wysunął się gładko, aby z panem Jelcem za stołem nie siedzieć, z czego się nazajutrz przed gospodarzem wytłomaczył. Tak to dawniej umieli czuć godność i powagę chrześcijańskiego szlacheństwa, nim zaczęto puszczać w pośmiewisko starożytnie obyczaje, mianując je fanatyzmem i ślepotą; bo łatwiej wyszydząć i potwarzać cnoty, niż je naśladować.

1177

Klasztor Surojski

Wierzejskiego, rejenta sądów zadwornych, wysunął się gładko, aby z panem Jelcem za stołem nie siedzieć, z czego się nazajutrz przed gospodarzem wytłomaczył. Tak to dawniej umieli czuć godność i powagę chrześcijańskiego szlacheństwa, nim zaczęto puszczać w pośmiewisko starożytnie obyczaje, mianując je fanatyzmem i ślepotą; bo łatwiej wyszydząć i potwarzać cnoty, niż je naśladować.

XVII.

Klasztor Surlański.

Niechaj mędrkowie jak chcą rozumują, zaprzeczeniu nie podpada, że wiara ze wszystkich uczuć jest najsilniejszym i najwięcej twórczem. Duma, potęga, rozum, męstwo, wielkich rzeczy na świecie dokazały; ale co jest największego, co przetrwało czasy, to było dziełem wiary. Wiele starożytnych narodów zniknęło, że ledwo ich pamięć zachowuje się między ludźmi, a jeżeli co z nich zostało, coby dotykalnie świadczyło o ich niegdyś bycie, to tylko pomniki ich wiary: te trwają dotąd. Pomniki ich potęgi, lubo bardzo starownie wzniesione, w kurzawę już

się obróciły, jak zwłoki tych, co je stawili. Jeżeli wiary, choć błędne ale istotne, tyle były silnemi; czegoż nie dokáže nasza, jedynie prawdziwa, której sam Bóg wcielony nauczył? Jakoż co tylko jest teraz na świecie trwałego, szlachetnego, godziwie potężnego, wszystko to natchnęła wiara ojców naszych. Nawet nie pojmuję, czem się człowiek bez wiary podniesie, jeżeli wielkich dopuściwszy się zbrodni, niezupełnie jeszcze zgładził ostatki szlachetności duszy: bo człowiek sam w sobie nie posiada oczyszczającej siły, musi ją koniecznie otrzymać od potężniejszej istoty. Toć to i u pogan nawet były jakieś obrzędy leczące sumienia. Być może, że Pan Bóg, i tam patrząc na szczerze korzącego się zbrodniarza, użył mu jakichś środków powrotu do cnoty, i błogosławił jego pokutę, bo nikt nad możność ofiary nie zrobił, a co tylko jest dobrego, czy uczynek, czy myśl, bez natchnienia Bożego nie będzie. Ale to jest rzecz głęboka, której nie tylko świecki, ale kapłan nawet nie rozwiąże. Co się nas tyczy, to jest pewne, jasne i niezawodne, i tego pilnujemy; a co będzie z innymi, tego nigdy nie dojdziem. Tej zagadki słowa nasz Pan nam nie objawił. Tyle tylko wiem, że o ile jest zarozumiale im dokucać, o tyle okrutnie ich potępiać. Dziękujemy naszemu Zbawicielowi, że nas oświecił, i wprost dał nam środki, któremi możemy jego łaskę, że tak po-

wiem, zniewolić. Prawodawstwo naszej chrześcijańskiej pokuty jest tak jasne, tak dokładne, tak skutkiem usprawiedliwiane, że niczem się nie wymówimy, jeżeli z niego korzystać nie będziemy. W tem wielka wyższość dawnych czasów nad terażniejszemi, że chociaż z jednej strony bywały zbrodnie, większe niż te, na które teraz patrzymy, (bo żywotność naszych przodków była silniejsza, niżeli zniewieściałych potomków, co nie będąc nawet zdolni podnieść się do namiętności gwałtownych, jedynie w podłych i nikczemnych gnuśniej), z drugiej strony wielkie było wyobrażenie o cnocie i pokutach, któremi się wykupywały przeciwne jej wykroczenia. Bywały czyny gwałtu, bywały czyny i podłości: oba te rodzaje występków czasem się łączyły, aby, zaślepiwszy człowieka, zamienić go w potwór. W to się do zbytku wpatrują miłośnicy istniejącej pory; a nie chcą za-
stanowić się nad tem, co się obok działo. Jak to w owych czasach wznaszały się przytulki dla nędzy i rozpacz; jak się po gościńcach gęściły pielgrzymy; jak drapieżne bestye ustępowały swych jaskiń pokutnikom różnego rodzaju; jak się nimi puszcze napełniały. Więc były głęboko wryte w sercu wyobrażenia obowiązków; a pokąd one się nie zatrą, nie ma nic rozpaczającego dla społeczeństwa. Bo ten tylko w niewinności wielkie rzeczy może działać, kto w występkach umie znosić wielkie pokuty. W owym

ogólnym duchu czasu, niepoślednie trzymała miejsce nasza ojczyzna. Miedzy rozlicznymi dowodami, jeden szczególnie utkwił mi w pamięci, lubo o nim pięćdziesiąt lat temu dowiedziałem się przypadkiem.

Wyjeżdżając z smoleńskiego, ciężko na zdrowiu zapadłem w Surlach miasteczku, w powiecie orszańskim leżącym. Na gospodzie żydowskiej niezawodniebym umarł, gdyby Opatrzność do niej nie była zaprowadziła dwóch Ojców Karmelitów bosych, powracających z kapituły do klasztoru swego, wznoszącego się nad surlańską puszcza, pod opieką św. Erazma. Miłosierni zakonnicy zawieźli mnie z sobą ledwie przytomnego, w ich klasztorze odzyskałem zdrowie po kilkoniedzielnej niemocy. Kiedym ich pożegnał, tak mnie opatrzyli, iż wyznać mogę, że ich groszem dostałem się aż w Krakowskie, gdzie się złączyłem znowu z konfederatami, z którymi do końca walczyć zaprzysięgałem uroczyste w dniu tym, w którymem się zaciągnął pod ich znaki. Ta była tylko przyczyna, iż nie zostałem zakonnikiem, bo dziwnie mi się było podobało całe to zgromadzenie, złożone z ludzi świątobliwych, pracowitych i uczonych. W czasie mojego tam pobytu, dowiedziałem się o różnych szczegółach ich fundacyi.

Za panowania Jana Kazimierza żył w województwie Witebskiem zacny obywatel, mający jednaka syna. Nazwisko jego, Ciechanowiecki, głośne

na Litwie. Lubo posiadał znaczne dobra, że znał wielkie obowiązki dla księcia Jeremiasza Wiśniowieckiego, wywdzięczając się zupełnie na majątku podupadłemu jego synowi, księciu Michałowi, oddał mu tego syna na usługi, który ze swego utrzymując się, ledwo że na cały dwór księcia się składał. Ale jak tylko wdzięczność narodu i pamięć zasług ojcowskich wyniosły na tron polski księcia Michała Wiśniowieckiego, jedną z pierwszych czynności nowego króla było wywiązać się panu Ciechanowieckiemu za dobrowolne z nim podzielenie nieprzychylnego losu. Zrobił go krajczym litewskim, i dał mu kilka królewszczyzn, między temi starostwo sądowe orszańskie. Tak w młodym wieku, pierwsze dostojęstwa piastował. Wkrótce potem odumarł go ojciec, co go zmusiło opuścić stolicę, raz, aby ostatnie posługi oddać zwłokom rodzica, powtóre, aby objąć po nim szerokie dziedzictwa. W województwie zamieszkawszy, zaprzyjaźnił się z W. Łopacińskim, stolnikiem Witebskim, i oświadczył mu się o rękę jego córki. Już go był sobie zobowiązał poprzednio, odstępować mu za konsensem królewskim starostwo orszańskie; a zresztą będąc odpowiednim pannie znacnością, i do wysokiego urzędu łącząc najznacniejszy majątek w całym powiecie, otrzymał deklaracyą, i w przytomności ledwo nie całego województwa odbyły się okazałe zrękowiny. Ale cóż jest trwałego

w pomyślnościach ludzkich! Wszelkie zdaje się posiadał rękojmie ostatecznego szczęścia, a największe nieszczęście nad nim wisiało. Jego mamka staje przed grodem (w asystencyi, już nie pamiętam jakiego obywatela, co u nieboszczyka jeszcze nabył wieś, w której mieszkała) i zeznaje, że pan krajczy jest jej synem, którego zamieniła, będąc mamką prawdziwego panicza; że ten w dzieciństwie u niej umarł; że sumienie takowy postępek ciągle jej wyrzucało; nakoniec, że kapłan, któremu się spowiadała, poradził jej zrobić to wyznanie, jako jedyny środek, aby powstać z ciężkiego grzechu. Zagrożony taką sromotą (bo już inni Ciechanowieccy, którym o majątek chodziło, brali się gorliwie do dzieła), pan krajczy broni się jak może, wszelkimi sposobami się ratując, pozywa mamkę, jako kalumniatorkę, wedle prawa fołdrując na jej gardło. Pan Łopaciński, w którego juryzdykcyi toczyła się sprawa, sam do żywego dotknięty, pomaga mu tajemnie, o ile było w jego możliwości. Nakoniec nieszczęśliwy człowiek pozorną mamkę, a w samej rzeczy matkę swoją, bądź namową duchownych, których na nią nasadził, by jej tłómaczyli, że wyznanie burzące spokojność publiczną nie może pochodzić z dobrego ducha, bądź wzruszwszy w jej sercu affekt macierzyński przekładaniem, że syna pozbawia majątku, czci, a nawet życia, gdyż on tego nieszczęścia nie przeżyje, skłania, aby przed

grodem oświadczyła: że pierwsze zeznanie zrobiła jedynie ze złości za to, iż domagając się o jakieś znaczne nagrody za staranie około jego niemowlęstwa, zbyta została z ofuknieniem, jako natrętna; co jej serce goryczą i zemstą napełniło. A z panem starostą Orszańskim się umawia, że z porządku rzeczy, potwarzy podobnej dochodząc, będzie się domagał w jego sądzie o karę gardłową, której on nie odmówi, zapatrując się na własne wyznanie zapozwanej; ale że natychmiast jedzie do Warszawy wyrobić u króla list żelazny, którym w momencie egzekucyi ją uwolni, a potem zapewniwszy jej byt wygodny, przeniesie w oddalone województwo.

Po takiej umowie ze starostą, a przysłym swoim teściem, niemniej z matką, której gdy całą rzecz wytłómaczył, ona się na wszystko zgodziła, i do końca wytrwać w powtórnem wyznaniu przyrzekła; jedzie do Warszawy, i powraca z listem żelaznym. Tymczasem sprawa toczy się zwykłym porządkiem, gród wyrok śmierci feruje, a pan starosta, mając już sobie ów list od zięcia pokazany, potwierdza dekret w pewności, że syn stracenia matki nie dopuści. Ale pan krajczy, chcąc się zabezpieczyć, aby następnie nie się na jego szkodę nie odnowiło, nie użył listu i rodzona matka jego straconą została. Pan starosta, co jeden o wszystkim wiedział (bo inni sędziowie w dobrej wierze wyrokowali), gdy mu vicesgerent

doniósł o spełnieniu wyroku, padł bez duszy, jakby piorunem przeszyty. Pan krajczy w rok potem ożenił się ze starościanką, szczęśliwie miał z nią pożycie i spłodził sześciu synów, których w wielkiej pobożności wychował. Wszystko mu się powodziło, wszystko miał: i znaczny majątek, i wysokie urzędy i szacunek publiczny. Każdy mógł mu szczęścia zazdrościć, bo nie wiedział, co się w jego sercu działo. Nakoniec odumarła go żona, kiedy najmłodszy z jego synów już był dorosłym. Dopiero w pasowaniu się z samym z sobą spędziwszy rok żałobny, zwołał wszystkich sześciu synów, wyznał przed nimi dręczącą tajemnicę, i oświadczył, że na puszczy surlańskiej chce klasztor wystawić i w nim życie na pokucie zakończyć. Na to synowie rozmówiwszy się z sobą:— Ojcie — odpowiedzieli — kiedy tak jest, żaden z nas nie ma prawa do tego majątku, coś go posiadał; wystaw klasztor, a prawym właścicielom oddaj twoje dostatki, któreś znacznie pomnożył; my zaś wszyscy świat opuścim, i z tobą razem będziemy pokutować i panu Bogu służyć.

I tak pan krajczy piękny klasztor pustelniczy wystawił pod imieniem św. Erazma, swego patrona, i Karmelitów w nim osadził; a zwoławszy Ciechanowieckich już podupadłych, wedle Boga istotnych dziedziców jego włości, wypowiadał im swoją zbrodnię, przeprosił ich za krzywdę im uczynio-

ną, i cały majątek im oddał, przekonawszy ich, że ten fundusz, który poświęcił na chwałę Boską, nie z ich majątku, ale z darów królewskich zebrany. Potem z sześcioma synami wstąpił do nowicyatu, we dwa lata z nimi razem uczynił uroczyste śluby, i umarł braciszkiem w wieku bardzo podeszłym, a w tak wielkiej świętobliwości, że jego ciało słynie dotąd cudami. Wszyscy synowie jego wyświęceni zostali na kapłanów, i zakon wielką miał pociechę z ich pobożności i z ich światła.

XVIII.

P a w l i k.

Za naszych czasów wychowanie młodzieży nie było co do nauk tak wykwintne, jak teraz, ale pożyteczniejszych wydawało obywateli. Polak, z dawnych szkół wyszedłszy, był prawdziwym Polakiem: między tysiącem cudzoziemców można było poznać, z jakiego on narodu. Dzisiaj, czy to na Szlązku, czy na Litwie, czy w głębokiej Niemczyźnie, szkoła szkole podobna: jedne nauki, jedne zabawy, jeden rozkład czasu. Wychodzą z nich jacyś obywatele, którym zarówno mieszkać, czy to w Rzymie, czy w Krymie. I to ma być wielki postęp, ażeby coraz więcej zacie-

rać cechy szczególne narodowości, a utworzyć jakiś naród ogólny, światły, mądry, bez przesądów. Piękna myśl: ale chwała Panu Bogu, nic z tego nie będzie, a wszystkie wielkości mędrków nie zmieniają wyroku, który Duch Święty nam objawił temi słowy: *et separavit Deus gentes, secundum linguas earum*. Bo jak nie ludzi to była rzecz zrobić, aby ten naród nie był innym, tak też nie dokażą, aby nim być przestał. Nadwątlą dzieło Boskie, nadpsują, ale go nie zniszczą. Pan Bóg po czasie na swoim postawi; a ludzie przewrotni sami się zawstydzą, że na przekorę Opatrzności tyle zaufali nędznemu rozumowi. Dobre były nasze szkoły, chociaż młodzież pod wąsem mniej umiała, niż dziatwa dzisiejsza. Toćto szeroko rozprawiają, że ciemnota nasza robiła nas niesposobnymi do postawienia mocnego rządu; że moralność publiczna zniknęła była w zabobonach i klasztornych dziwactwach; że brak oświaty tak przytłumił uczucia uczciwości, iż u nas miano za zaszczyt brać jurgielta zagraniczne; że dopiero wtedy naród ukazał się szlachetnym i godnym bytu, kiedy król Stanisław zaprowadził reformę w nauczaniu publicznem — i inne podobne zdania, któremi poruszają popioły naddziadów, a które tak często się powtarzają, że już im wierzyć trzeba. Ja przyznam się, że moim prostym rozumem nie pojmuję, jaki być może stosunek między rządem silnym a tem, co nazywają oświatą publi-

czną. Oj, lepszy nam był Alwar, niż towarzystwo ksiąg elementarnych. Po dawnych naszych szkołach wszystko tak było jak w kraju, dla którego nas hodowano. Mieliliśmy nasze sejmiki, nasze sądy, biliśmy się w palcaty, robiliśmy obroty wojskowe, i wprowadzono nas do religii, na której się opiera narodowość. Wyszedszy ze szkół, czy wypadło urzędować, czy prowadzić chorągiew, człowiek nie przychodził do rzeczy obcej dla niego. A nadewszystko uczono nas, aby nie rozprawiać o powinnościach, ale ich dopełniać.

Pan Ambroży Korsak, porucznik piatyhorskiej chorągwi, a mój szczególny dobrodziej, miał lat przeszło siedemdziesiąt, miał wnuków, już obywateli osiadłych.

Pan Korsak, człowiek stały i doświadczony, miał mnóstwo dykteryjek do opowiadania, bo niejedną książkę można było napisać z tego co widział i doświadczał. Po dobytciu Krakowa, kiedyśmy tam zimowali spokojnie, w dzień św. Ambrożego zebraliśmy się u pana Korsaka, dla powinszowania mu rocznicy imienin. Było nas kilkudziesięciu z różnych województw; gospodarz wszystkim był rad, i beczka wina poszła na traktament. Nie można było nasłuchać się dość tego, co opowiadał.

Opowiadał zaś nam, jak to w początkach swojej żołnierki, będąc na służbie jeszcze u JW. Pocięja, hetmana W. Lit. w Wilnie, asystował konno przy jego kolasie; a że ten pan był wielce pobożny, kazał mu z sobą mówić różaniec. Gdy więc z kolei hetman zaczynał antyfonę: „O Maryo, cna dziewica, porodziłaś Królewica, Niebieskiego dziedzica“ właśnie w tym samym momencie, obaczył pan Korsak, że z poprzecznej ulicy szła kolasa, w której siedziała pewna dama, o której córkę się starał. Puścił się tedy, damy rączkę ucałował, zawrócił konia, i w samą porę trafił, by kończyć antyfonę: „Porodziłaś bez boleści, zbaw nas smutku i żalości. Zdrowaś Marya, Amen“. Tak to się JW. hetmanowi podobało, że nie mógł różańca nie przerwać, by powiedzieć: — Mości towarzyszu, zgrabnyś! O waści pamiętać będę, — i wkrótce dał mu chorągwo w teje chorągwi. Z tego powodu ośm razy się rąbał z tymi, co do tej rangi sami aspirowali. I inne podobne rzeczy mówił nam przy kielichu, że aż miło było; a nareszcie jakoś przyszło, że wziął się do opowiadania początków swojego zawodu w naszej konfederacji; bo on był z pierwszych, co się do tego związku zaciągnęli, chociaż był Litwinem, a konfederacja Barasza, jak wszystkim wiadomo, zawiązała się na Ukrainie.

H. Okonski

39. Eliza Orzeszkowa „Jędrza“	tom	1
40. 41. K. Junosza „Żywota i Spraw In c ana Symchy Borucha Kalkugla ksiąg pięciuro	tomów	2
42. 43. Wanda Grol-Bęczkowska. „W mieszczańskim gniedzie“ powieść	tomów	2
44. 45. Lord Byron „Wędrowki Childe-Harolda“ poemat, tłum. z ang. przez A. A. K.	tomów	2
46. A. K. Smaczniński. „Na dnie otchłani“ powieść współczesna	tom	1
47. 48. 49. 50. Marya Łopuszańska „Bezkrólewie“ powieść historyczna	tomów	4
51. 52. H. G. Wells „Wojna światów“ przekład z angielskiego Maryi Wentz'l	tomów	2
53. Edward Maliszewski „Z życia“	tom	1
54. 55. Wiktor Gomulicki „Wybór Nowel“	tomów	2
56. 57. 58. 59. E. L. Bulwer „Ostatnie dni Pompei“	tomów	4
60. Wiktor Gomulicki „Wybór Nowel“	tom	1
61. Antoni Lange „Przekłady z poetów obcych“	tom	1
62. 63. Kazimierz Chłędowski „Dwie wizyty w Anglii“	tomów	1
64. Antoni Lange „Przekłady z poetów obcych“	tom	1
65. Exsterus „Kwiat aloesu“	tom	1
66. 67. 68. 69. 70. Henryk Rzewuski „Listopad“	tomów	5
71. 72. Klemens Junosza „Czarnebloto“	tomów	2
73. 74. Piotr i Paweł Margueritte. „Nowe Kobiety“	tomów	2
75. 76. Aspiro „W dolinie lez“	tomów	2
77. 78. 79. Antoni Chleboradzi „Na kurpiowskim szlaku“	tomów	3
80 — 85. Karol Szajnocha „Dwa lata dziejów naszych“	tomów	6
86. 87. Berta v. Suttner „Hilq-l“	tomów	2
88. 89. 90. H. Rzewuski „am... arego szlachcica litewskiego	3	

Nowi prenumeratorzy „Gazety Polskiej“ mogą nabywać komplety kwartalne (po 13 tom.) po rb. 2,40 w Warszawie, z przesyłką pocztową rb. 3.

CENA „GAZETY POLSKIEJ”

wraz z Bezpłatnym Dodatkiem 52 tomów
roczn'ie.

w Warszawie:

Rocznie	Rs. 9,60
Półrocznie	„ 4,80
Kwartalnie	„ 2,40
Miesięcznie	Kop. 80

Z odnośzeniem do domu.

z Przesyłką pocztową:

Rocznie.	Rs. 12
Półrocznie.	„ 6
Kwartalnie	„ 3

Adres Redakcyi: Warszawa, Wesoła 14.